FR. CORNELIAN DENDE, OFM. CONV.
ST. FRANCIS HIGH SCHOOL
ATHOL SPRINGS, N. Y.

ŚW. JAN KAPISTRAN.

Fotog. Braun, Dornach, Alzacya.

ŚW. JAN KAPISTRAN.

(Według obrazu Vivariniego, malowanego w Wenecyi w trzy lata po śmierci Świętego. — Obecnie w Luwrze w Paryżu).

FR. CORNELIAN DENDE, OFM CONV.
ST. FRANCIS HIGH SCHOOL
ATHOL SPRINGS, N. Y.

ŚW. JAN KAPISTRAN.

WEDŁUG O. WINCENTEGO FITZGERALDA O. F. M.

ZA POZWOLENIEM AUTORA TŁOMACZYŁA

MARYA RZEWUSKA.

(Z 2-ma ILUSTRACYAMI.)

POZNAŃ 1916. — NAKŁADEM I CZCIONKAMI
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.

Wolno drukować.

Poznań, d. 23 sierpnia 1915.

Konsystorz Jeneralny Arcybiskupi.

(L. S.)

w z.

X. Weimann.

SPIS RZECZY.

Str.

Rozdział I.

Młode lata 7

Rozdział II.

Życie zakonne 22

Rozdział III.

Praca misyjna we Włoszech 33

Rozdział IV.

Na usługach Kościoła i Zakonu 46

Rozdział V.

Niemcy i Polska 78

Rozdział VI.

W obronie chrześcijaństwa 110

Rozdział VII.

Zwycięstwo Białogrodzkie 135

Rozdział VIII.

Śmierć 166

Rozdział I.

Młode lata.

Małe miasteczko Kapistrano w Abruzzach, o dwadzieścia mil na południo-wschód od Aquili, w dyecezyi Sulmańskiej, w granicach dawnego królestwa Neapolitańskiego, dało swe imię wielkiemu Świętemu, którego żywot naszkicowaliśmy na tych tu stronnicach. Pamięć świętego Jana Kapistrana stała się odtąd dla rodzinnego Jego miasta jedynym wprawdzie, lecz wiecznym tytułem do wszechświatowej sławy. Około roku 1384 osiadł tutaj pewien rycerz, o którym nie wiemy nawet, czy był z pochodzenia Francuzem czy Niemcem, nie znamy bowiem na pewno jego nazwiska. Prawdopodobnie rycerz ten nazywał się Ghez[1]), co wskazywałoby na nie-

[1]) Nazwisko równoznaczne z dzisiejszem Goetz albo Götz. Sprawę tę poruszył i bada naukowo Ojciec Michał Bihl w „Archivum Franciscanum Historicum". III. 781 str. oraz M. Léon de Kerval w „Un. Frère Mineur d'Autrefois" Ed. 1908, App. I.

mieckie jego pochodzenie. Historycy są zdania, iż był to szlachcic z urodzenia i że około roku 1382 porzucił swój kraj rodzinny i poszedł na daleką wojnę, jaka toczyła się wówczas we Włoszech o tron Neapolitański i trwała jeszcze przez lat kilka.

Ożenił się on niebawem z osobą z dobrej kapistrańskiej rodziny i z małżeństwa tego, dnia 24-go czerwca 1386 roku, urodził się syn, któremu nadano imię Jan. Oto wszystko, co wiemy dzisiaj o ojcu Świętego, który miał zasłynąć jako wielki kaznodzieja i cudotwórca, ale który odziedziczył również po nim i niemało wojennego rycerskiego ducha.

Domowa wojna szalała już u kołyski dziecięcia, a ciężkie lata i ważne wypadki, wśród których wyrósł, wywarły niezaprzeczenie wpływ swój na Nim. Przygotowywały Go one niejako do tej wielkiej roli, jaką miał w późniejszych latach odegrać w chrześcijańskim świecie. Dobrze będzie zatem poznać w głównych zarysach dzieje południowych Włoch w owych czasach.

Wielka schizma zachodnia — jedna z największych klęsk, jakie kiedykolwiek nawiedziły Kościół Boży — zaczęła się w r. 1378. Joanna I, królowa Neapolu, stanęła po stronie antypapieża Klemensa VII, za co prawowity Papież Urban VI. odebrał jej rządy. Papież ten, używając swej władzy prawnej, jako

suweren lennego mu państwa Neapolitańskiego, oddał koronę Karolowi Durazzo. Joanna przyzwała wtedy na pomoc Ludwika Andagaweńskiego, brata Karola V, króla Francyi, i zrzekła się na jego rzecz praw swoich, przekazując mu ich obronę. Antypapież koronował go we Francyi w roku 1382, poczem Ludwik wyruszył ze swojem wojskiem do Neapolu. Od tej chwili wojna przeciągała się z roku na rok, gdyż żaden z przeciwników nie odnosił zwycięstwa, choć stronnictwo francuskie coraz to było słabsze. Ludwik umarł w roku 1384, a po nim panował Ludwik II, który przetrwał w swych prawach do roku 1412, poczem, widząc, że stanowisko jego stracone, opuścił Włochy na zawsze. Tymczasem umarł również i Karol Durazzo w roku 1386, pozostawiając koronę synowi swemu, Władysławowi. Król Władysław, który już potem nie potrzebował praw swych przeciw nikomu bronić, stał się właśnie przyjacielem i opiekunem św. Kapistrana.

Jan stracił już ojca w szóstym zaledwie roku życia. Matka jednak, kobieta znana z pobożności, zajęła się gorliwie bardzo wychowaniem i wykształceniem syna. Powierzała go pieczy najlepszych nauczycieli rodzinnego miasta i młodym jeszcze bardzo chłopaczkiem wysłała go już na dalsze studya na uniwersytet do Perugii. Tam

przykładał się nasz Święty do nauki prawa kanonicznego i cywilnego i po dziesięciu latach pracy otrzymał stopień doktora praw. Wiemy o nim, że był pilnym i wybitnie zdolnym uczniem. Krzysztof z Varese opowiada, że współuczniowie prosili go nieraz o rozstrzygnięcie trudnych i zawiłych spraw i że w takich wypadkach polegali więcej na jego sądzie niż na zdaniu profesorów.

Hieronim z Udine dodaje, że profesorowie nie czuli się bynajmniej dotknięci takiem postępowaniem swych słuchaczy, lecz owszem, bez żadnej obrazy swej godności, sami się nieraz Jana Kapistrana radzili. Wobec tak niezwykłych dowodów jego inteligencyi, szczerze żałować nam należy, że tak mało szczegółów z lat młodzieńczych nas doszło. Tłomaczymy to tem, że wszyscy biografowie Świętego, współcześni mu nawet, zajmowali się przedewszystkiem nadzwyczajnymi zaiste wypadkami z jego późniejszego życia. Byłoby dla nas dzisiaj niezmiernie ciekawem, gdybyśmy mogli przedstawić sobie i uprzytomnić cały proces dojrzewania i wyrabiania się tak szlachetnej i potężnej osobistości, jaką była osobistość świętego Jana Kapistrana. Fakta jednakże, któreby nam do tego pomódz mogły, wydawały się biografom Świętego rzeczą małej wagi, woleli tedy opowiadać nam o cudach i nadzwyczajnych zda-

rzeniach, na które sami patrzyli. Dzisiaj jest to już strata nie do powetowania. Hieronim z Udine przechował nam jednak jedno powiedzenie Świętego z jego młodocianego okresu życia: »Miałem w sobie wrodzone poczucie skromności, poszanowania rodziców i dobrych obyczajów do tego stopnia, że gdym tylko gdziekolwiek zauważył coś niestosownego, ogarniał mnie niczem nieprzezwyciężony wstręt; oddalałem się wtedy niezwłocznie, nie chcąc narażać się potem na popełnienie obmowy, której również nienawidziłem«.

Słowa te rzucają jasny promyk światła na młodzieńczy charakter Tego, który miał niebawem zasłynąć szeroko własną świętością oraz darem podnoszenia i uświęcania innych. Dowodzą one wielkiej miłości cnoty, niepopowszedniej podówczas wśród studentów włoskich, i świadczą o harcie duszy i sile charakteru, gdyż nieraz trzeba mieć wielką odwagę, aby uciec od złego. Tenże Hieronim z Udine opowiada nam równocześnie, iż Jan był przystojnym, poważnym lecz miłym w obejściu młodzieńcem, tak przytem niezwykle był uczonym, że wszyscy, co go znali, przepowiadali mu wielką przyszłość.

Niestety o następnych kilku latach jego życia wiemy również niewiele. Zdaje się, że

wkrótce po ukończeniu uniwersytetu wstąpił do urzędu i że go król Władysław zaszczytnie wyróżniał i bardzo cenił. Szedł też więc coraz wyżej po szczeblach tak cywilnej jako też i wojskowej służby i został niebawem mianowany gubernatorem Perugii. — Najwyższy to był stopień dostojności świeckiej, jakiego w życiu swem dostąpił. Stało się to prawdopodobnie nie dalej jak około 1412 r., gdy Kapistran liczył zaledwie lat dwadzieścia sześć! Dowodzi nam to dzisiaj, że biografowie Świętego nie przeceniali jego młodzieńczych zdolności i że odmalowali nam jego młodość nie podług wizerunku sławy późniejszych czynów, ani jej nam podali według własnej swej wyobraźni! Ojciec odumarł go bowiem w dzieciństwie i nie mamy najmniejszej na to wskazówki, aby jakiemukolwiek potężnemu wpływowi przypisywać jego wyniesienie. Zdobył je sam sobie i zawdzięczał jedynie własnej pracy i niezwykłym zdolnościom.

Stanowisko gubernatora i to na tak ważnem jak Perugia posterunku, wielce było trudnem i pełnem odpowiedzialności dla tak młodego szczególniej człowieka. Były to ciężkie bardzo czasy, gdyż kraj jeszcze nie wrócił do równowagi i porządku po klęskach długiej wojny. Historycy opowiadają nam jednak, że dzięki sprężystej administracyi,

a bardziej jeszcze dzięki wspaniałomyślności, sprawiedliwości i bezstronności w sądach Kapistrana, nietylko miasto Perugia, ale i kraj cały znacznie się podniósł. Rozboje i rabunki ustały, gwałty i niesprawiedliwości zostały usunięte. Mieszkańcy odetchnęli spokojnie, czego dawno już nie pamiętano[1]). — W tem opowiadaniu odnajdujemy i my rysy charakteru Świętego, które znamionować go będą w dalszem życiu i dzięki którym postać Kapistrana odegrała tak wielką rolę w dziejach świata.

Zdarzyło się (czy podczas gubernatorstwa, czy za dawniejszego jeszcze urzędowania, tego nie wiemy), że pewna wysoko postawiona osoba ofiarowała Kapistranowi wielkie bardzo wynagrodzenie, jeżeli skaże na śmierć więźnia, posądzonego o ciężką zbrodnię. W przeciwnym razie osoba ta groziła Kapistranowi, że go zabije. Kapistran odmówił żądaniu, z rzadką zaiste na te czasy bezprawia i sprzedajności odwagą i uczciwością. Niedość na tem. Przeprowadziwszy z całą sumiennością i bezstronnością badania, dowiódł niewinności posądzonego i uwolnił go z więzienia[2]).

---

[1]) Krzysztof z Varese, I.

[2]) Opisuje Wadding, znakomity dziejopis zakonu Franciszkańskiego w „Rocznikach".

Przechowała się jeszcze inna opowieść z tego okresu życia Świętego, którą podają Massoni, Catani i inni, lecz której w dawnych żywotach nie znajdujemy. Oto hrabia St. Agatha obwiniony został wraz z synem o zdradę i stawiony do zbadania przed sądem. Kapistran był jednym ze sędziów. — Ojcu udowodnił sąd winy i skazał go na śmierć, syna jednak, młodziutkiego jeszcze chłopaczka, uniewinnił.

Wyrok nie zadowolił jednak króla Władysława, gdyż król życzył sobie, aby obaj podsądni ponieśli karę śmierci i stali się tym sposobem odstraszającym przykładem dla niewiernych poddanych. Stanęło na tem wreszcie, że obu obwinionych skazano na śmierć i zaprowadzono na miejsce kaźni. Tam nieszczęsny syn miał być świadkiem kary ojca, poczem zostanie obdarowany wolnością. Tak się też i stało: ścięto ojca w oczach syna, a przerażenie i boleść dokonały tego, czego odmówiła Władysławowi sprawiedliwość sędziów — chłopak padł martwy nad zwłokami ojca! Według Massoniego zajście to i żal, że do tej smutnej sprawy należał, miały skłonić Kapistrana do tego, że porzucił wszelkie świeckie godności i wstąpił niebawem do Zakonu Franciszkanów. Prawdopodobnie jednak Massoni się pomylił, gdyż wypadek ten mógł się zdarzyć

najpóźniej już w r. 1414, roku śmierci Władysława, podczas gdy Kapistran nie wstąpił do Zakonu przed r. 1416. Sądzimy tak na podstawie najlepszych źródeł, nie wyłączając świadectwa Massoniego, jakie nam na to w skreślonym przez siebie żywocie Świętego daje. Wypadek ten wywarł wpływ jednakże na życie i usposobienie Kapistrana, i stał się niezawodnie jedną z pobudek, które składały się zwolna na przygotowanie go do wielkiej ofiary, jaką miał niezadługo już Panu Bogu z siebie uczynić. Czujemy to w opowiadaniu Cataniego i tłomaczymy sobie tem pomyłkę Massoniego. Mówi on bowiem, że Kapistran zrzekł się był wówczas wszelkich godności, do jakich go król Władysław wyniósł, i że dopiero po wielu prośbach i namowach królewskich dał się nakłonić do objęcia ich na nowo; król zaś na dowód uznania nadał mu wtedy urząd najwyższego sędziego w państwie.

Córka i następczyni Władysława, Joanna II-ga, która w r. 1414 wstąpiła na tron była również jak ojciec życzliwą i łaskawą dla gubernatora Perugii. Życie i karyera światowa Kapistrana zapowiadały się jak najpomyślniej pod każdym względem. Miał on właśnie pojąć za żonę córkę jednego z najwybitniejszych obywateli miasta Perugii i wybierał się w drogę do rodzinnego Kapi-

stranu w początkach r. 1416[1]) dla zaopatrzenia się tam w niezbędne do urządzenia się pieniądze — gdy jak grom nagłe spotkało go nieszczęście. Za nieszczęściem, jak to często bywa, przyszło opamiętanie, nawrócenie — i zaczęło się nowe życie.

Perugia wchodziła w skład państwa kościelnego, a papież Jan XXIII dał ją był w lenno królowi Władysławowi wraz z miastami Ascoli, Viterbo i Benevento prawdopodobnie około r. 1412, t. j. dacie wyniesienia Kapistrana na urząd gubernatorski. Papież Jan XXIII był jednak tylko jednym z trzech współzawodników do tronu Papieskiego w epoce wielkiej schizmy Kościoła, która miała się już na szczęście ku końcowi. Dnia 29-go maja 1415 r. złożył go właśnie Sobór Konstancyański z tronu Piotrowego. Jan XXIII poddał się nazajutrz wyrokowi Soboru bez wahania. W kilka dni później zrzekł się również praw swoich Grzegorz XII, trzeci zaś współzawodnik, Benedykt XIII zupełnie był już wówczas zdyskredytowany. Minęły jednak jeszcze dwa lata, zanim przez obór jednomyślny Marcina V (11 Listopada 1417 r.) skończono z wielką schizmą raz na zawsze.

Nic dziwnego, że w tak ciężkich i opłakanych warunkach i okolicznościach w mie-

[1]) „Pamiętniki Jakóba z Franchis", patrz niżej.

ście i całej prowincyi Perugii wybuchły zaburzenia. Szczegółów tych walk domowych nie znamy, według jednak świadectwa samego św. Kapistrana, którego opowiadanie streszczamy pokrótce, ważną rolę odegrał w tej sprawie możny ród Malatestów. Potężna ta rodzina, głównie zaś przywódca jej, Jan Malatesta, przyczynili się niepomału do szczęśliwego zakończenia schizmy w Kościele. Jan należał do najzaciętszych przeciwników Jana XXIII i jego stronnictwa. — Dzięki zamieszkom upadł i stracił swą władzę gubernator Perugii, a ta odmiana losu miała doprowadzić go do klasztoru! Biografowie Świętego opowiadają o niezwykłej zmianie, jaka wtedy w nim zaszła i o zdarzeniach, które temu towarzyszyły. Posłuchajmy jednak raczej słów jego własnych, przechowanych przez Jakóba z Franchis[1]). »W owym czasie« tj. w r. 1416[2]), »wybuchła

---

[1]) Był to osobisty przyjaciel Świętego, którego on wraz z jego żoną przyjął do Trzeciego Zakonu Św. Franciszka. Podał on treść rozmowy, którą miał z św. Kapistranem w r. 1447, na temat nawrócenia Świętego. Dokumentu tego użył Massoni w swoim żywocie Świętego, a Bollandyści i inni uczeni uznają go za autentyczny.

[2]) Patrz wyżej. Wadding (X. 358) mówi, że stało się to w r. 1414, lecz nie znał on jeszcze dokumentu Jakóba z Franchis. Wiemy zresztą, że w r. 1414 panował w królestwie Neapolitańskiem pokój.

walka pomiędzy rodem Malatestów a miastem Perugią. Wysłano mnie do ułożenia warunków pokoju, zaledwie jednak dotarłem do pewnej twierdzy[1]), uwięziono mnie i nogi okuto mi w łańcuchy, które ważyły czterdzieści dwa funty, nie dając mi przytem innego pożywienia jak tylko chleb i wodę. — W nieszczęściu mojem zacząłem rozważać, jakby tu uniknąć śmierci. Obliczyłem wysokość wieży, a potem zabrałem się do pasa, który na szczęście miałem przy sobie. — W braku noża zębami go rozdarłem, kawałki powiązałem ze sobą i kaptur mój[2]) jeszcze dodałem do tego. Okazało się, że otrzymałem w ten sposób sznur, który śmiało dosięgnąłby Św. Krzysztofa[3]). Przymocowałem mój sznur do ściany wieży i zacząłem się po nim spuszczać. Pękł mi jednak kaptur. Upadłem na ziemię, pokaleczyłem sobie nogę i nie mogłem ruszyć się z miejsca. Na hałas i brzęk kajdan zerwała się tymczasem straż. Uwięziono mnie napowrót i wrzucono

---

[1]) Do Bruffa, (Mikołaj z Fara, I.) Miasto w prowincyi Perugii, na drodze do Assyżu.

[2]) Kaptur doktorski, używany przez dostojników miejskich. Zwieszał się na lewe ramię.

[3]) Odnosi się to do klasztoru w Penua, w którego ogrodach toczyła się rozmowa.

tym razem do lochu w podziemiach wieży, gdzie woda dochodziła mi do pasa. Okręcono mnie w pasie łańcuchem i przywiązano do słupa, tak że zmuszony byłem stać bezustannie. Kromka chleba i troszkę wody były jedynem moim pożywieniem. Po trzech dniach takich katuszy zasnąłem z wyczerpania. Zdawało mi się przez sen, że słyszę jakiś wielki hałas. Skoro się obudziłem, ujrzałem promień słońca, który oświecał całą wieżę. Podniosłem głowę, by dzięki złożyć za to Bogu, a wówczas zobaczyłem przed sobą Brata Franciszkanina, ze stygmatami na stopach. Znikł jednak, gdym chciał go objąć i uściskać. Schyliwszy głowę, przekonałem się, że jestem ogolony tak, jak mnie widzisz teraz[1]).

Po tem com widział, pewny byłem, że ten Brat Mniejszy to nie był kto inny, lecz tylko nasz Święty Ojciec Franciszek. Przejrzałem wtedy i zrozumiałem nareszcie, że jest to wolą Bożą, abym świat opuścił i Jemu wyłącznie służył. Dla tego też postarałem

---

[1]) Głowa ogolona w kształcie tonsury. Krzysztof z Varese twierdzi, że tonsura ta na zawsze już pozostała niezarośnięta. Mówi on też o trzech widzeniach i twierdzi, że tonsura pojawiła się za trzecim razem. W poprzedzającej to opowiadanie części rozmowy Święty opowiadał, że był nadzwyczaj próżny ze swych pięknych włosów.

się przedewszystkiem o uwolnienie i za cenę czterystu dukatów okupiłem swoją wolność.

Rozkazałem niezwłocznie sprzedać wszystkie swoje księgi i ubiory, a sam wróciłem do Kapistranu do mej narzeczonej. Oznajmiłem jej mój niewzruszony zamiar i postanowienie, aby świat opuścić i Bogu się na służbę oddać. Przyrzekła mi na moje prośby, że za mąż nigdy nie wyjdzie. Nie dotrzymała jednak obietnicy. Wyszła za mąż i to dwa razy i umarła na trąd. Oddałem jej i matce mojej cały swój nieruchomy majątek, a po spłaceniu wszystkiego, rozdzieliłem to, co pozostawało pomiędzy biednych Jezusa Chrystusa.

Wróciłem wówczas do Perugii i włożywszy na głowę kaptur, na którym były wypisane wszystkie moje grzechy, jeździłem tak po mieście na ośle, twarzą do ogona, aby przezwyciężyć w sobie w ten sposób siłę tego niegodnego świata[1]). A gdy jechałem tak po ulicach Perugii, zbiegiwały się wkoło mnie tłumy dzieci, i obrzucały mnie błotem.

---

[1]) Wadding twierdzi, że uczynił to z rozkazu Ojca Marka z Bergamo, podówczas gwardyana konwentu, zwanego del Monte w pobliżu Perugii, który pragnął wypróbować w ten sposób jego powołanie.

W takim to stanie skruchy udałem się do Ojców i przywdziałem ich habit. Błogosławiony niechaj będzie ów dzień! Mogłem mieć wtenczas lat trzydzieści, a jestem już Franciszkaninem od lat trzydziestu jeden. Oby Bóg Dobry raczył nam zawsze ukazywać Swoją najświętszą wolę!«

Rozdział II.

Życie zakonne.

Dnia 4 października 1416 r., t. j. w sam dzień świętego Patrona Franciszka, przywdział Kapistran habit Franciszkańskiego Zakonu. Odebrał go zaś z rąk Ojca Marka z Bergamo. Wadding wspomina o Ojcu Marku w swem dziele i tak się o nim wyraża: »Był to mąż słynny z uczoności; skoro wstąpił do klasztoru del Monte w Perugii, przykładem swoim skłonił wielu z uczącej się w tem mieście młodzieży do pójścia w swoje ślady. Przeżył lat wiele w tymże klasztorze, umarł zaś otoczony sławą cudotwórcy«. Przełożonego nowicyatu, Onufrego z Seggiano, prostego braciszka zakonnego, tenże sam Wadding chwali jako człowieka pobożnego, surowego, nadzwyczajnej roztropności i ostrożności. Znajdziemy wkrótce wiele przykładów jego surowości, ostrożność zaś jego w postępowaniu z Kapistranem tłomaczy się tem, że pra-

gnął on gruntownie wypróbować nawrócenie się i powołanie tego niezwykłego nowicyusza. Ciężkie próby, któremi Kapistrana doświadczał, zahartowały i udoskonaliły gorącą jego duszę i zawiodły go na drogę cnoty i świętości.

W rzeczywistości Onufry kochał i czcił młodego zakonnika, a ten odpłacał mu to wielkiem przywiązaniem i szacunkiem. Słyszano nieraz potem, jak Święty o nim mawiał: »Dzięki składam Bogu, iż raczył mi zesłać takiego mistrza, gdyby Onufry bowiem mniej surowo obchodził się ze mną, nie byłbym nigdy w stanie dostąpić cnoty pokory i cierpliwości«[1]). W roku zaś 1451, gdy św. Kapistran wybierał się w drogę do Austryi, wstąpił do klasztoru w Cortonie, by odwiedzić tam brata Onufrego. Zastał go już zestarzałym i schorowanym bardzo. Zabawił przy nim jak tylko mógł najdłużej, na pożegnanie zaś zabrał jego habit, który później jako pamiątkę po nim nosił.

Musimy jeszcze z kolei słów parę poświęcić klasztorowi, w którym Kapistran nowicyat swój odbywał, gdyż zasługuje ze wszech miar na wspomnienie. Klasztor Franciszkanów del Monte, przezwany obecnie

[1]) Krzysztof z Varese, I. O Marku z Bergamo i o Onufrym z Seggiano wspomina również »Monologia Franciszkańskiego Zakonu«.

Monte Ripido, wznosi się poza bramą Św. Anioła w Perugii i zdaje się górować nad miastem, które już samo leży na wyżynie. Znikąd prawie we Włoszech całych nie mamy tak rozległego i wspaniałego widoku, nie wyłączając nawet słynnego klasztoru w Fiesole. Wznosił się tu niegdyś dwór perugijskiego szlachcica, a ten podarował go zgromadzeniu Fraticelli na budynek klasztorny. Skoro tylko jednak pobożny ofiarodawca przekonał się, że są to ludzie złych obyczajów i heretycy, wnet, przy pomocy ojca Paolacci z Foligno, odebrał im swój dar, a oddał go na użytek i własność zakonu Franciszkanów. Było to w roku 1374[1]). Konwent ten miał zasłynąć niebawem z surowości swej reguły (Obserwanci), bardziej zaś jeszcze zasłynął z tego, że z niego wyszło wielu świętych.

W świątobliwej tej siedzibie Kapistran ugruntowywał się i wzrastał w cnocie i bogobojności. Opowiada nam Krzysztof z Varese, jakoby brat Onufry surowemi środki uczył go cnoty, pokory i cierpliwości, i wszczepiał w nowicyusza zasady prawdziwego zakonnego życia. »Karcił go codziennie i coraz to nowym poddawał pokutom, biczowaniu,

[1]) Patrz Wadding, VIII. 300. Paolaccia z Foligno nazywano nieraz: Pawłem z Trinci, a był to jeden z najpierwszych Obserwantów.

postom, lub też skazywał go na chleb i wodę; to znowu rozkazywał mu jadać, klęczącemu na podłodze w refektarzu klasztornym, i to wobec siedzących u stołu towarzyszy.

Zdarzało się nierzadko, iż ludzie z miasta odwiedzali świątobliwego nowicyusza i zasięgali rady jego w wielu ważnych sprawach, pamiętano albowiem jeszcze w Perugii o jego niezwykłej uczoności i roztropności. Po każdych takich odwiedzinach nie omieszkiwał mu nigdy brat Onufry mawiać: »Próżny człowiecze! Czemużeś nie pozostał w świecie, skoro takie marności mogą cię jeszcze nęcić!«

Pewnego razu zapadł Kapistran na ciężką i dokuczliwą gorączkę. Przełożony nowicyatu przygotował mu lekarstwo i rozkazał wychylić je duszkiem. Zgotowany napój był po prostu wrzątkiem; ufny jednak w moc cudowną cnoty posłuszeństwa, nowicyusz spełnił rozkaz bez wahania i wychylił napój do dna. Zdumiewa nas w tem opowiadaniu, iż nietylko, że nie stało mu się nic złego, ale i gorączka opuściła go niezwłocznie. Zapytywany, czy się nie bał w chwili wypicia napoju, Kapistran tak odpowiedział: »Myślałem sam, że poparzę sobie silnie usta i gardło, wychyliłem jednak lekarstwo, z pełną wiarą w moc cnoty świetego posłuszeństwa,

chociaż wbrew swoim przyrodzonym chęciom i ochocie«.

Innym znów razem zgromadzili się nowicysusze wokoło kotła, w którym gotowała się ich odzież do prania. Woda w kotle wrzała i kipiała jeszcze i nikt też nie odważał się zabierać do roboty. Wtem nadchodzi Brat Onufry i, nie czyniąc zresztą innym żadnych wymówek, zaczyna łajać Kapistrana, zowiąc go próżniakiem, śpiochem i niedbalcem. Nie dość na tem. Brat Onufry porywa jednę z gotujących się w kotle sukien i ciska nią prosto w twarz nowicyusza. Kapistran pada na to z całą pokorą do nóg swego mistrza, nie myśląc nawet o tem, że mógłby był w tej chwili postradać wzrok dzięki niemu. Tym razem znowu jednak wyszedł bez szwanku.

Jak wielu innych świętych, tak i Kapistran bywał nieraz wystawiany na pokusy tak od ludzi, jako też i od szatanów. Jednym z jego obowiązków w nowicyacie było spełnianie roli zakrystyana. Korzystając z tego obowiązku, Kapistran przyzwyczaił się spędzać część nocy w zakrystyi: odmawiał tam psalmy pokutne i trapił się dyscypliną. Pewnej nocy ukazał mu się tam dyabeł i różnymi hałasami i głosami chciał go przestraszyć i wypędzić. Święty nowicyusz pozostał jednak niewzruszony. »Możesz mi uczynić wszystko, na cokolwiek ci Pan Bóg pozwoli,

rzekł on szatanowi — ale nie możesz mieć mocy nademną, chyba w granicach, jakie się Bogu spodoba na mnie dopuścić«[1]).

Wszystkie wyżej opisane zdarzenia znane nam są według opowiadań najzaufańszych towarzyszy Kapistrana w jego późniejszych podróżach i misyach. Byli to ludzie roztropni i ostrożni, o wielkim i zdrowym rozumie i sądzie, według zaś wszelkiego prawdopodobieństwa słyszeli te fakta z ust samego Świętego. Bywali oni nieraz świadkami naocznymi cudów, wobec których tamte wypadki nie wydają się ani niczem nadzwyczajnem, ani też niczem trudnem do zrozumienia. Powiedzieliśmy już bowiem, że święty Jan Kapistran zasłynąć miał cudami. Pan Bóg powołał go do wielkiej, apostolskiej zaiste pracy. Miał on opowiadać Słowo Boże heretykom i kacerzom różnych krajów, dzikim fanatykom, nie znającym prawa ni obyczajności, a których serca bardziej zatwardziały w bezbożności aniżeli serca pogańskich Greków lub Rzymian, albo też bałwochwalców egipskich i indyjskich. Zesłał też Pan Bóg na Kapistrana nadzwyczajne łaski i dary, jako na pierwszych Apostołów: »Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie z grobu umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypę-

---

[1]) Mikołaj z Fara u Bollandystów.

dzajcie złego ducha z opętanych: wieleście otrzymali, wiele dawajcie« [1]).

Nie powinno nas to zatem dziwić, iż już w początkach powołania Kapistrana spotykamy się z wypadkami, wobec których ogarnia zdumienie. W zdarzeniach takich powinniśmy upatrywać zapowiedź wielkich czynów, do jakich Świętego powołał Wszechmocny.

W roku 1417, podczas oktawy św. Franciszka, dopuszczono Kapistrana do uroczystych ślubów zakonnych. Według świadectwa Krzysztofa z Varese, Święty z największą pokorą padłszy na kolana przed zgromadzeniem, błagał o łaskę tę i wyznawał z płaczem, iż nie jest jej godzien i że na nią nie zasłużył.

Bracia zakonni poznali się już jednak na nim, i z prawdziwą radością przyjmowali do swojego grona zakonnika, w którym tak wielkie i świetne pokładali nadzieje.

Po profesyi Kapistran rozpoczął dopiero, według Franciszkańskiego zwyczaju, studya teologiczne. Tu pierwszym jego mistrzem stał się św. Bernardyn Syeneński, w gronie zaś jego współuczni znajdował się Jakób della Marca, który miesiąc wcześniej złożył śluby. Tak to spotkali się i poznali nawza-

---

[1]) Mat. 10, 8.

jem trzej ludzie, którzy mieli zasłynąć jako najwięksi Święci swojego czasu! Pierwszy z nich, t. j. święty Bernardyn był już wówczas wypróbowanym i zasłużonym bojownikiem na polu walki o chwałę Bożą, tamci zaś dwaj przeznaczeni mu byli do pomocy w tej walce. Walka to była nielada: chodziło o pokonanie jednych z najzaciętszych wrogów, jakich kiedykolwiek zły duch do walki przeciw Kościołowi Bożemu powołał. W taki to też sposób zawiązała się odtąd trwała przyjaźń pomiędzy temi trzema wielkimi, wybranemi i szlachetnemi duszami. W dalszym toku naszego opowiadania spotykać się będziemy z wymownymi przykładami tej przyjaźni.

Z dniem każdym czynił tymczasem Kapistran pod okiem św. Bernarda niebywałe postępy w nauce. Opowiadają nam, iż mistrz tak się miał o swym uczniu wyrazić: »Jan nauczy się więcej, gdy śpi, niż inni, ucząc się dniem i nocą«.

Wiemy już, że w pierwszej swej młodości Święty nasz okazywał niebywałe zdolności, mimo to nadzwyczaj szybkie postępy w nauce teologii przypisać należy cudownej opiece i zrządzeniu Opatrzności. Tak twierdzi przynajmniej Krzysztof z Varese. Powiada on, iż pewnej nocy ukazała się Kapistranowi Najświętsza Panna i podała mu cudowny

napój w srebrnem naczyniu, co miało być symbolem wrodzonej mądrości oraz daru wymowy.

Nie dziw, że przełożeni Świętego, mając do czynienia z człowiekiem, obdarzonym taką pomocą i takiemi zdolnościami, zrobili dla niego wyjątek z obowiązującej w Zakonie reguły. To też w przeciągu roku wyświęcono już Kapistrana na dyakona i przydano go do pomocy św. Bernardynowi podczas podróży misyjnej tegoż w roku 1418. Powiada nam Barberini, iż w ciągu tego jednego roku Kapistran nauczył się tak wiele, że mógłby był sam śmiało uchodzić za mistrza. W roku 1420 otrzymał też już nasz Święty i święcenie kapłańskie.

Nie doszły do nas niestety najważniejsze szczegóły z podróży i misyi podjętych ze św. Bernardynem. Według świadectwa jednak Mikołaja z Fara wnosić możemy, że Kapistran brał czynny udział w pracy św. Bernardyna i że pono nawet występował jako kaznodzieja. Biograf ten podaje nam również szczegóły o sposobie życia, jaki prowadził. Mówi więc, iż Święty prowadził w dalszym ciągu ostre klasztorne życie, że często ćwiczył się dyscypliną i że przez pierwszych lat siedm zakonnego życia chodził tylko boso, potem zaś nosił sandały. Podróż każdą odbywał piechotą. Raz tylko towarzyszył konno

generałowi Zakonu w czteromiesięcznej podróży, która miała na celu reformę Zakonu. Skoro podróż chybiła celu i trudy poszły na marne, Kapistran postanowił wrócić na zawsze do dawnego sposobu podróżowania. Ubiór jego był zawsze ubogi. Długie lata nosił stale na sobie ostrą włosiennicę oraz przepasywał się pasem, zrobionym z drewnianych opiłek. Trzy razy do roku zwykł się umartwiać długim postem i nigdy, aż do śmierci, od tego zwyczaju nie odstępował. Surowy jednak dla siebie, pobłażliwym był i dobrotliwym względem innych. Nie sypiał nigdy dłużej nad trzy lub cztery godziny, często nawet na dwu godzinach snu poprzestając. Codziennie prócz obowiązkowych pacierzy i brewiarza, odmawiał jeszcze godzinki do Najśw. Panny, psalmy pokutne oraz nabożeństwo za dusze zmarłych. Pomimo wszelkich zajęć, znajdywał zawsze czas na dalsze studya i pozostawił po sobie wiele dzieł i traktatów teologicznych. Nie wybrał się nigdy w żadną podróż bez swych ksiąg, choćby to była podróż i daleka i uciążliwa, a nawet i niebezpieczna. W najgorszych chwilach podczas oblężenia Białogrodu kazał księgi te przechowywać w twierdzy, gdyż były tam najbezpieczniej schowane. Na łożu śmierci, na Węgrzech, troszczył się jeszcze o nie i obmyśliwał sposoby na przewiezienie

ich i wręczenie braciom Zakonnym w Kapistrano.

Święty Jan Kapistran spędził długie lata na usługach Stolicy Apostolskiej, bywał doradzcą królów i cesarzy, apostołem uwielbianym wielu narodów i obrońcą całego Chrześciaństwa — przedewszystkiem jednakże i nadewszystko pozostał on zawsze wiernym i prawdziwym synem zakonu św. Franciszka. Ten rys charakteru właśnie, ta wierność regule w tak trudnych niekiedy warunkach i okolicznościach — to zrobiło go tak wielkim Świętym. Kochał on całą duszą swój Zakon i całe swe życie gorliwie i żarliwie dla Zakonu pracował.

Rozdział III.

Praca misyjna we Włoszech.

Historycy nie wspominają nam wcale, czy i jakie podróże misyjne przedsiębrał Kapistran pomiędzy r. 1418 a r. 1425. Istnieje jednak ważny dokument, noszący datę 12-go lipca tegoż 1425 r., a wydany przez kardynała Jana Orsini, biskupa Albano, który rzuca na lata te pewne dla nas światło. — W piśmie tem mówi kardynał o pracy Świętego i jej plonach, o rzeszach ludu i pokutników, którzy się zewsząd do niego uciekają. W imieniu i na wyraźny rozkaz papieża Marcina V dozwala zatem kardynał Kapistranowi słuchać spowiedzi każdego grzesznika, który się do niego uda, oraz pozwala mu udzielać rozgrzeszenia w wypadkach i grzechach, zarezerwowanych biskupom. Prawa te kardynał rozciąga i na tego z księży Franciszkanów, któregoby sobie wybrał Kapistran do pomocy[1]).

Widzimy z tego dokumentu, że po znanej nam już podróży misyjnej z roku 1418,

[1]) Całość tekstu przechował nam Wadding, Roczniki 10. 91.

w towarzystwie św. Bernardyna, Święty nasz musiał z wszelką pewnością podjąć takich misyi na własną rękę więcej, i rozumiemy, że w pracy swej zażywał już wówczas pewnego rozgłosu i sławy[1]). Upoważnienie papieskie utorowało mu więc drogę do cudownego zaiste apostolstwa we wszystkich prowincyach i krajach włoskich. Zanim przyjrzymy się jednak tej jego pracy, zapoznajmy się przedewszystkiem bliżej ze stanem społeczeństwa współczesnego XV w., musimy bowiem zdać sobie dokładnie sprawę z trudności, z jakiemi nasz Święty miał tu do walczenia.

Od kilku lat zaledwie wyszedł był Kościół zwycięsko z wielkiej schizmy zachodniej, która przez ciężkich lat czterdzieści pogrążała wiernych w wątpliwościach co do prawowitości władzy Ojca Świętego. Tak więc z jednej strony podobna niepewność i brak zaufania do tego, kto powinien był być stróżem i przewodnikiem w rzeczach wiary — z drugiej zaś strony ustawiczne walki i intrygi stronnictw, by tego lub innego współzawodnika na tron Piotrowy wynieść — walki prowadzone zwykle bez wyboru środków a z pobudek czysto osobistych — wszystko to razem złożyło się było,

[1]) Zdaje się, jakoby głosił słowo Boże w Syenie, około r. 1420. (Bollandyści 10 października, str. 284.)

by poniżyć w oczach wiernych urok Stolicy Apostolskiej.

Umysły słabsze gorszyły się łatwo, ludzie zaś źle myślący pozwalali sobie na wszystko. Było to, jakoby całe morze zła i błędu, któremu tamę i zaporę stawiała przez długie wieki uznawana przez każdego władza Stolicy Apostolskiej, wystąpiło teraz ze swych brzegów i zalało zachodni świat chrześcijański!

Tama bowiem była zerwana i zapora zniesiona, skoro powaga Stolicy Apostolskiej została zachwiana i ludzie nie wiedzieli, kto jest prawowitym namiestnikiem Chrystusowym na ziemi.

Za czasów Kapistrana przyczyny złego były wprawdzie już usunięte, lecz następstwom długo jeszcze i trudno było zaradzić. Biskupi przysięgali wprawdzie na wierność Papieżowi, lecz nie wahali się nieraz przekraczać jego woli i rozkazów oraz deptać prawa kościelnego, którego On jest wyobrazicielem i stróżem.

Duchowieństwo zabiegiwało o dochody z beneficyów kościelnych i piastowało niekiedy po kilka takich beneficyów w jednym ręku. Do kapituł dyecezyalnych, jako to na stanowisko wpływowe i poważane, powoływano jedynie ludzi majętnych i szlachetnie urodzonych. Niektórzy z biskupów zapatry-

wali się na świetność dworu papieskiego w Avinionie i rezydowali również poza granicami swej dyecezyi, pozostawiając ją na opiece Opatrzności.

Wpośród zakonnego i świeckiego duchowieństwa zdarzyły się często wypadki symonii (świętokupstwa), chciwości i niemoralnego życia. Namnożyło się teologów, którzy twierdzili, że Papież jest tylko pierwszym pomiędzy biskupami i że sobór powszechny rozstrzygać może w rzeczach wiary, tak, że od sądu Papieża apelować można do sądu przyszłego soboru. Czyż nie głoszono tego na soborze Kostancyeńskim, by powtórzyć potem na soborze Bazylejskim? Klątwa — najpotężniejsza broń w ręku Kościoła — straciła swą moc i siłę i spowszedniała ludziom, gdyż nadużyli tej broni współzawodnicy w walce o tron papieski podczas wielkiej schizmy zachodniej. To też klątwa przestała być już postrachem i hamulcem w oczach wielu bardzo ludzi.

Wogóle ludność świecka aż nadto szybko i łatwo wykorzystywała położenie. Po okresie wielkiej, niczem niezachwianej wiary wieków średnich, który był zarazem okresem rycerskiej zaiste prawości względem Kościoła Chrystusowego, nadszedł teraz okres niezadowolenia, upadku zasad moralnych,

który wiódł wprost już nieraz do materyalizmu.

Nasienie buntu dojrzało już w ludzkości — nie dziw więc, że kraj każdy w inny sposób ten bunt i te nurtujące w nim prądy i uczucia objawiał! To też gdy Wickleff i jego towarzysze, przezwani »ubogimi księżmi«, przygotowywali w Anglii grunt pod wojnę domową i religijną — w Czechach działał w tymże duchu Jan Huss i jego uczniowie.

Nigdzie jednak może ruch ten nie był silniejszym i szerszym niż we Włoszech. — Wrzała tu bezustannie walka Welfów z Gibellinami, w której pierwsi podawali się za podporę Kościoła i Papieża, drudzy zaś stali po stronie cesarza. Nie było we Włoszech miasta ani rodziny, gdzieby nie toczyła się walka domowa i bratobójcza. Po ulicach miast włoskich lała się codziennie krew: brat walczył tu nieraz z bratem. Każdy czuł się w obowiązku należeć do tego lub owego stronnictwa, a zdawało mu się, że ma prawo do nienawiści i zemsty nad wrogiem, nad którym nie znał litości.

Na tle tej wstrętnej nam wojny domowej rozwinęła się na domiar złego sekta »Fraticellów« i wszczęła walkę religijną. Byli to pierwotnie buntownicy i odszczepieńcy w zakonie świętego Franciszka, z którym oddawna już zerwali wszelaką łączność.

Fraticelli przyjmowali obecnie do swego grona ludzi świeckich i to tak mężczyzn jako też i kobiety. Głosili, że Stolica Apostolska straciła już swoją władzę w chrześcijaństwie z chwilą, gdy Jan XXII wydał na nich wyrok potępienia. Posiadali więc swoich biskupów i własnego papieża i twierdzili, że księża i biskupi przez popełnienie grzechu utracają moc i ważność swoich święceń. — Głosili oni wielką surowość zasad i życia, ale, jak wielu innych heretyków współczesnych, oddawali się rozpuście i obrzydliwym nałogom. Ludzie ci nie uznawali praw żadnych ponad sobą, chyba, że je nadali sobie sami. Poszanowanie prawa, własności i małżeństwa nie istniało wcale w ich pojęciach. Tym sposobem sekta Fraticellów stawała się groźną nietylko Kościołowi, ale i państwu. Kacerze ci rekrutowali się ze wszystkich prowincyi włoskich, z dalekiej Grecyi i innych krajów. Wyparci z jednej miejscowości, tem liczniej gromadzili się w innych.

O ludziach zresztą, którzy nie popadli byli w herezyę ani nie należeli do wrogich sobie politycznych stronnictw, powiedzieć niestety można było ze smutkiem, że niewiele byli od tamtych lepsi. Hołdowali oni przeważnie przesądom, zmysłowości i chciwości, rzadko bardzo uczęszczali na Mszę lub do Sakramentów św., jedynym zaś ich bodź-

cem i celem w życiu był dobrobyt i chwała. Włochy były tedy widownią nieprawości i złego, gdy wystąpił do boju Kapistran i wypowiedział złemu walkę. Zwycięstwo jego w tej walce tem będzie świetniejsze, im ogrom zła był większy, a walka trudniejsza.

Walki tej nie prowadził on sam jeden, gdyż nie on jedynie odnosił wówczas świetne zwycięstwa nad kacerstwem i nieprawością. Św. Wincenty Fereryusz działał równocześnie cuda w Hiszpanii, Francyi i Włoszech, poprzedzili zaś go już w pracy Berthold w Niemczech, a Tauler w Niderlandach.

Wystarczy nam dodać jedno tylko jeszcze wielkie imię, imię św. Bernardyna Syeneńskiego, który stał wówczas u szczytu chwały jako kaznodzieja i misyonarz. Brakowało jednakże pracowników na roli Pańskiej, gdy żniwo zapowiadało się obfite! — Kapistrana oczekiwała praca, godna jego energii, nauki i świętości.

Nie możemy tu dawać obrazu chronologicznego, choćby w zarysie tylko, wszystkich podróży misyjnych Świętego we Włoszech. Doszło nas albowiem zaledwie kilka dat i wypadków z całego tego okresu. Wiemy przecie, iż życie całe Świętego zeszło mu na tej pracy, sądzimy przeto, że pożyteczniej nam będzie skreślić ogólny jej obraz i przed-

stawić największe jej dobrodziejstwa, powołując się w tem na świadectwo dziejopisów współczesnych.

Dnia 27 maja 1426 r. wystosował papież Marcin V długie i obszerne pismo do Świętego, w którem chwali gorąco dotychczasową jego działalność i nadaje mu godność naczelnego inkwizytora na całe Włochy w walce przeciwko Fraticellom. Ojciec św. nadał przytem Kapistranowi różne prawa i przywileje, tak np. dozwalał mu prawa te i przywileje rozciągnąć na tych, których do pomocy sobie powoła. Gdyby zaś uznał to za stosowne, mógł ich tych praw pozbawić i przelać je na innych swoich pomocników.

Nie temu jednak, że dostąpił godności papieskiego kaznodziei, spowiednika i inkwizytora, ani też nie jedynie łasce i zaufaniu Stolicy Apostolskiej przypisać należy, że ludzie zewsząd się do Kapistrana garnęli i że wywierał na nich tak potężny wpływ i tak niewypowiedziany urok. Blask jego cnoty pociągał wszystkich, a pomoc niebieska kierowała najwidoczniej jego słowy i uczynki. Z Apostołami Pańskimi działo się ongiś to samo — gdyż tajemnicą potęgi i uroku, wywieranego na świat przez świętych, jest przedewszystkiem potęga ich modlitwy, oraz moc, jaką nadaje im umartwienie w sobie ludzkiej natury i ludzkich ułomności.

Krzysztof z Varese opowiada o Janie Kapistranie: »Od chwili wstąpienia do zakonu aż do śmierci, Kapistran nie jadał więcej, niż sześcioletnie dziecko. Mięsa używał jedynie w razie konieczności, lub przez posłuszeństwo przełożonym. Zdarzało się, iż bracia zakonni, w obawie, by im nie umarł z wycieńczenia przy wielkiej i ciągłej pracy, błagali Papieża, aby rozkazał Kapistranowi pożywać mięsa. Czynił to wówczas z posłuszeństwa, sprawiało mu to jednak najwidoczniej przykrość, tak, że pożywanie mięsa stawało się dlań raczej pokutą aniżeli pokrzepieniem: jadł go bardzo niewiele i z wyraźną odrazą. Skazywał się też często na post o chlebie i wodzie, biczowanie i różne inne umartwienia ciała. Takiemi to środki zwalczał Kapistran w sobie wszelką moc szatana i poddawał swe ciało pod niepodzielną władzę ducha. W umartwieniu tedy i wytrwałości czerpał siłę, cnota zaś była mu puklerzem w walce. Tak uzbroiwszy się, głosił Kapistran śmiało słowo Boże, a Pan dopomagał mu w pracy i zsyłał cuda i znaki, któreby słowa jego potwierdzały«.

Opowiada nam dalej Krzysztof z Varese, jak różne miasta i prowincye ubiegały się o zaszczyt i łaskę, by u nich głosił Kapistran słowo Boże i jakie w tym celu czyniono z góry już nieraz zabiegi u Stolicy

Apostolskiej lub też u kardynała protektora zakonu Franciszkańskiego. Pobyt jego w jakiembądź mieście uważała ludność za błogosławieństwo Boże. Wszędzie też wdzięcznym sercem przyjmowano go i ugaszczano, tysiączne zaś rzesze słuchały w skupieniu słów jego. Posłuchajmy jeszcze innego dziejopisa, który nam o tem wszystkiem lepiej opowie.

Mikołaj z Fara, kreśląc dzieje różnych kaznodziei, którzy apostołowali we Włoszech w XV w., tak opowiada: »Żaden z nich jednak nie zasłużył sobie na taką miłość wśród towarzyszy jak Jan Kapistran, ani też żaden nie był w takich łaskach w Kuryi Rzymskiej: żaden bowiem nie miał jego biegłości w prawie świeckiem czy kościelnem, jego żarliwości około nawrócenia heretyków, schizmatyków czy żydów, i jego wielkiej gorliwości w sprawach wiary. Żaden z nich nie posiadał tej mocy i daru czynienia cudów, ani tej swady kaznodziejskiej w obronie wiary świętej. Nikt też nie był od Kapistrana więcej żądny męczeństwa za wiarę św., której bronił, ani też nikogo nie otaczała za życia większa cześć i sława świętości.

»Doszło niebawem do tego, że najzupełniej wbrew woli, Święty nasz otoczony był w wielu prowincyach włoskich oznakami najwyższej

czci i że oddawano mu tam największe honory. Rzesze ludu słuchały słów jego, co przypominało jak gdyby czasy Apostolskie. Miasta i wioski wyludniały się za jego przybyciem, gdyż tłumy wylegiwały, aby usłyszeć Kapistrana każącego. Gminy wysyłały doń zapraszające listy lub posłańców; to znowu zdarzało się nieraz, iż przybywał na wyraźny rozkaz Stolicy Apostolskiej, a na prośbę potężnych osobistości. Albowiem słowo Boże było w nim żywe i potężne. — Nie uciekał się do wywodów ludzkiej mądrości, lecz moc i potęgę słowa czerpał z daru Ducha św. Nie głosem też ludzkiej mądrości, lecz z mocy Ducha św. opowiadał Kapistran przyjście Królestwa Bożego na ziemię. A Pan był zawsze z nim i dawał świadectwo słowom jego przez różne widome znaki.

»Świętość Kapistrana zasłynęła niebawem po całych Włoszech i lud włoski wszędzie lgnął do niego. Najbardziej ukochała go jednak ludność miast Aquili, Syeny, Arezzo, Florencyi, Wenecyi, Padwy, Treviso, Wicenzy, Werony, Medyolanu, Brescyi, Mantui i Udine. Witano go tam serdeczniej jeszcze niż gdzieindziej i nie można wyobrazić sobie radości i entuzyazmu, z jakim go tam przyjmowano. Ludność wyżej wymienionych miejscowości, jak również i cała ludność królestwa Sycylii otaczała go taką czcią i przywiązaniem i tak

nabożnie słuchała słów jego, iż zdarzało się nieraz, że szerokie gościńce i rozległe pola czerniły się od mrowia słuchających. Bywało nieraz po dwadzieścia i trzydzieści tysięcy ludzi, czasem nawet i przeszło stutysięczny tłum słuchał słowa Bożego z ust Jana Kapistrana«.

Tenże biograf powiada nam, że napływ tłumu dochodził nieraz do takich rozmiarów, iż przeszkadzał Świętemu w podróży z miasta do miasta. Tak np. w ostatnim roku pobytu we Włoszech musiał głosić w Brescii słowo Boże na placu przed kościołem św. Apolonii rzeszom, liczącym 26 tysięcy ludzi. Sam Mikołaj z Fara był na tym kazaniu i twierdzi, że liczby słuchaczy nie przesadzono wcale. Nie byli to jedynie mieszkańcy Brescii: niejedni przybyli z Bergamo, Cremony lub Medyolanu. Nie każdemu danem było usłyszeć głos Świętego, ci więc poprzestawali na tem, aby ujrzeć go z daleka lub też dotknąć się szaty Męża Bożego. Gałęzie drzew uginały się nieraz i łamały nawet pod ciężarem słuchających lub przypatrujących się, ale nie zdarzył się nigdy najmniejszy wypadek. Niejeden zato zdarzył się cud. Kilka cudów np. zdarzyło się w Wicenzy i Weronie, co do których władze miejscowe przeprowadziły śledztwo i zaświadczyły same o ich wiarogodności. We Florencyi znowu

tłum tak się zwykł cisnąć i tłoczyć wokoło Świętego, że nie mógł się Święty nasz pokazać na mieście i musiano dawać mu uzbrojonego strażnika dla bezpieczeństwa ogólnego. Kapistran jednakże w głębokiej pokorze ducha przyjmował te oznaki czci i starał się zwykle różnymi sposobami ich unikać, tak lubił np. wymykać się nocą dla niepoznania. Gdy zaś sposoby te zawodziły nieraz, Święty nasz mawiał z Prorokiem: »Nie mnie, Panie, nie mnie, lecz Imieniowi Twemu niechaj będzie chwała«.

Takie i tym podobne świadectwa współczesnych dają nam dzisiaj wspaniały obraz pracy apostolskiej św. Jana Kapistrana. — Świadectwa te mówią nam tylko o Włoszech, gdyż są przez Włochów spisane. W następnym jednak rozdziale zobaczymy, że w tymże okresie czasu Święty nasz nawiedzał i inne kraje i przekonamy się, że i tam praca jego wydawała podobne plony.

Rozdział IV.

Na usługach Kościoła i Zakonu.

Przychodzimy z kolei w opowiadaniu naszem do okresu życia świętego Kapistrana pomiędzy rokiem 1426 a rokiem 1451. Pracowity to i długi, bo aż 25-letni okres w życiu Świętego!

W r. 1426 ukazał się nam był Kapistran po raz pierwszy w pełnym blasku chwały i sławy kaznodziejskiej, łaski i zaufania Stolicy Apostolskiej — rok zaś 1451, to data, w której Święty opuszcza Włochy na zawsze. W ciągu tego 25-lecia Święty nasz opowiada słowo Boże we wszystkich prowincyach i zakątkach Włoch i doprowadza do odrodzenia moralnego i religijnego swojej ojczyzny. Od czasu do czasu przekracza granice kraju i opowiada słowo Boże w Niemczech, Francyi i Hiszpanii [1]), a, jak się zdaje, zapuszcza się nawet do dalekiej Anglii i Irlandyi. Według

[1]) Patrz list do Hussytów, u Boll. 10 października, str. 336.

świadectwa współczesnych nawrócił święty Kapistran wiele tysięcy heretyków, schizmatyków i żydów. Nie poprzestawał jednakże na pracy misyjnej jedynie, ale położył równocześnie wiele niespożytych zasług dla dobra Franciszkańskiego Zakonu oraz przyczynił się wielce do dzieła jego reformy.

Mówiliśmy już poprzednio o pracy misyjnej i kaznodziejskiej Świętego, jak również poświęciliśmy słów parę herezyom, głównie zaś sekcie Fraticellów, które Święty tak dzielnie i skutecznie zwalczał.

Zanim opowiemy o dalszych pracach i zasługach Kapistrana, zmuszeni jesteśmy zająć się z kolei pokrótce historyą Zakonu świętego Franciszka i ciężkich walk, przez które Zakon ten podówczas przechodził. By obraz był jasny i dokładny, cofnijmy się nieco wstecz, do chwili założenia Zakonu. Było to w r. 1209, gdy Inocenty III potwierdził pierwsze zasady reguły, ułożonej przez św. Franciszka. Kilka lat następnych śmiało uważać należy za okres nieomal że niemowlęcy Zakonu. W pierwszym peryodzie zapału i zaparcia siebie uczniowie postanowili wprowadzać w życie ideały Mistrza, a w czyn słowa Ewangelii. Zapał, którym ich Święty potrafił natchnąć był tak wielki i gorący, umiłowanie ewangelicznego ubóstwa tak zupełne i głębokie w ich sercach, że zdawać się

mogło, że wszelkie szczegółowe ustawy zakonne byłyby tu zbyteczne. Tłomaczy nam to braki w owej ustawie. Okazało się też niebawem, że potwierdzona ostatecznie przez Honoryusza III w roku 1219 reguła Franciszkańska mogła być rozważnie i całkiem dowolnie rozumianą i tłumaczoną, a więc nie była dość jasną. Postanowiono zaradzić złemu i nadać nową organizacyę Zakonowi. Niesłychanie szybki wzrost Zakonu wymagał już tego zresztą sam ze siebie, wpływ bowiem osobisty i przykład Świętego mogły działać jedynie na tych, z którymi za życia swego obcował. Leży to niestety w ułomności natury ludzkiej, iż zapał może tworzyć cuda, ale rządzić światem długo nie zdoła. Święty zapał i ewangeliczne nauki św. Franciszka porwały jego towarzyszy i ci pozostali mu wierni i słowem i czynem; setki jednak i tysiące nowej braci zakonnej już tak żyć, jak oni żyli, nie umiała. Przewidział to już był z góry, za życia jeszcze świętego Franciszka, brat Eliasz z Cortony, człowiek bystry i rozumny, ale bynajmniej nie entuzyasta. Dokładał on starań, by urządzić i zorganizować Zakon na podstawach bardziej praktycznych, gdyż przewidywał już wówczas przeróżne nadużycia, jakie się tamże wkraść mogą do reguły ubóstwa i surowych obyczajów. To też Eliaszowi z Cortony i jego towarzy-

szom i następcom miano wkrótce nadać nazwę Relaxati (nie obserwujących ściśle reguły), ale odrzucenie ich od tych, którzy przestrzegali pilnie pierwotnej reguły św. Franciszka, a których przezwano niebawem Spirituales (uduchowieni).

Od tej chwili pierwszego rozłamu rozpoczyna się okres niezgody i sporów w Zakonie i trwa dopóty, dopóki trzy bulle papieskie (1230, 1145 i 1247 r.) nie doprowadziły do stopniowego załagodzenia sprawy i nie położyły kresu sporom. W bullach owych wzięła jakoby Stolica Apostolska pod swoją szczególniejszą opiekę tych wszystkich, którzy poświęcili się cnocie bezwzględnego ubóstwa i podała im sposoby i środki, jak mają tę świętą cnotę wykonywać i uprawiać. Gdy wkrótce potem generałem Franciszkanów został św. Bonawentura (1257—1274), zapanował w Zakonie spokój i jedność, o jakich nie słyszano od najdawniejszych czasów, a to dzięki wielkim zasługom i wybitnej indywidualności Świętego.

Spokój nie miał trwać długo jednakże. Po niejakim już czasie zaczęło znowu wzrastać i nurtować uczucie niezadowolenia wśród zakonnej braci. Zdawało im się bowiem, iż za wiele zrobiono ustępstw i że właściwie następcy pierwotnych Relaxati wygrali sprawę. Około r. 1334 pewien świątobliwy zakonnik

z Foligno, imieniem Jan z Vallées wskrzesił na nowo wielkie pierwotne franciszkańskie idee i dał tym sposobem początek tak zwanej reformie Obserwantów. Wielu pobożnych i uczonych mężów zgromadziło się niebawem wokoło Jana, by w tymże co on celu z nim razem pracować. Gdy w r. 1351 Jan umarł, następcy jego, Gentile ze Spoleto, Paweł z Trinci i Angelo z Monte Leone poprowadzili dalej rozpoczęte dzieło. W r. 1368 przyłączył się do nich Jan ze Stronconio. We dwa lata później papież Grzegorz XII, w. bulli, wydanej w Awinionie, pochwalał staranie tych pobożnych braci i dawał im swoją sankcyę. Sądzonem było, iż skromna praca tych kilku ludzi dobrej woli otrzyma niebawem światowy rozgłos, a to dzięki człowiekowi, który stać się miał tem dla Franciszkańskiego Zakonu, czem był ongiś św. Bernard z Clairvaux dla Cystersów. Człowiekiem tym opatrznościowym był św. Bernardyn Syeneński; w roku 1421 został on po śmierci Jana ze Stronconio przełożonym Obserwantów. Z czasem stać się miał św. Bernardyn ojcem duchowym całego Zakonu, jego najsilniejszą podporą oraz niestrudzonym krzewicielem po świecie. Papież Leon X w bulli »Ite et vos«, wydanej w r. 1517, to jest w sto lat później, takiemi słowy określa działalność św. Bernardyna: »Zakonnicy owi, z błogo-

sławionym Bernardynem — chorążym chorągwi Jezusa Chrystusa — na czele, a z pomocą i poparciem soboru Konstancyeńskiego, wskrzesili z martwych po świecie całym Zakon, który już dogorywał i zamierał«. W wielkiem dziele wskrzeszenia zakonu św. Franciszka miał św. Bernardyn ku pomocy św. Kapistrana, dawnego swego ucznia a wiernego zawsze przyjaciela. Kapistran współzawodniczył z nim niejako w pracy i trudach i walną był mu zawsze podporą.

Oto przykład przyjaźni, jaka łączyła obu Świętych, a zarazem jedno z najdonioślejszych w skutkach swoich wydarzeń z początków karyery misyjnej Kapistrana (rzecz ta zresztą nie odnosi się wcale do dzieła reformy zakonnej).

Święty Bernardyn jako niezmordowany apostół wiary św. miał wielu zaciętych wrogów pośród kacerzy. Wrogami jego byli między innymi uczniowie Manfreda z Vercelli. Ów Manfred z Vercelli był to niezły w gruncie, lecz wielce łatwowierny człowiek, który głosił ludziom koniec świata i doprowadzał ich wprost do obłędu; wielu porzucało mienie i domostwa i włóczyło się po kraju, oczekując zapowiedzianej katastrofy. Łatwo tedy zrozumieć, że św. Bernardyn słowem i piórem przeciwko naukom Manfreda występował. Rzeczy przybrały takie roz-

miary, iż papież Marcin V musiał wydać rozkaz, by wyznawcy Manfreda rozeszli się i powrócili do swych domów i zajęć. Obłąkańcy ci jednak nie usłuchali rozkazu papieskiego i nie wyrzekli się włóczęgi.

W tymże czasie właśnie, bo w r. 1427, przybył do Vercelli św. Bernardyn, aby mieć tam nauki wielkopostne. Według świętego swego obyczaju Bernardyn kazał wywiesić w mieście tablicę z wypisanym na niej Najświętszem Imieniem Jezusa Chrystusa, ku czci powszechnej mieszkańców. Zachęcał również słuchaczy do czci i nabożeństwa Imienia Jezus i radził, by poszli za dobrym przykładem i tymże świętym monogramem przystrajali domy swoje. Wtedy to uczniowie Manfreda postanowili zemścić się na swym prześladowcy i oczernić go przed Stolicą Apostolską o herezyę i bałwochwalstwo. Uczynili to tak zręcznie, iż udało im się oszukać Ojca św. Nic zresztą w tem bardzo dziwnego. Tylu kręciło się wówczas po świecie fałszywych proroków, tylu było kacerzy, iż nietrudno przyszło papieżowi w pierwszej chwili uwierzyć, że Bernardyn mógłby być jednym z takich. Wezwano zatem niezwłocznie Bernardyna do Rzymu. — Ojciec św. bardzo chłodno go przyjął, zabronił mu wygłaszać kazań i rozkazał po-

zostać w mieście, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Podczas gdy to działo się w Rzymie, Kapistran przebywał w Neapolu, dokąd pospieszył na wezwanie królowej Joanny II, by zwalczać tam i wytępiać różne zabobony i praktyki żydowskie. Skoro go tylko doszła wieść o przykrem położeniu, w jakiem znalazł się jego nauczyciel, Kapistran nie wahał się ani chwili, opuścił niezwłocznie Neapol i wybrał się w drogę do Rzymu.

W Rzymie pragnął nasz Święty bronić mistrza i pragnął zarówno stanąć w obronie czci oddawanej Najsłodszemu Imieniowi Jezus. W czci tej i nabożeństwie szedł on od dawna śladami swego mistrza, częstokroć w kazaniach nawoływał słuchaczy do tego nabożeństwa, a nosił zawsze ze sobą monogram Chrystusowy, otoczony gorejącemi promieniami, na wzór Bernardowego.

Kapistran przybył do Rzymu w dzień naznaczony na sąd i próbę św. Bernardyna. Wchodząc do miasta, Święty nasz podniósł wysoko święty znak, osadził go na proporcu i niósł przed sobą jakoby sztandar. Niebawem otoczył go tłum ludu i postępował za nim jakby na procesyi, albowiem nabożeństwo ku Imieniowi Jezus znane już było wśród Rzymian. I tak uroczyście i procesyonalnie szli po ulicach Rzymu, śpie-

wając hymny na cześć Najsłodszego Imienia Chrystusowego.

Gdy wieść o tem, co się dzieje w mieście, doszła do Ojca św. nagły ten i niespodziewany wybuch pobożności wzruszył go głęboko i zachwiał wszelkie podejrzenie i wątpliwości. Rozkazał natychmiast odłożyć przesłuchiwanie Bernardyna i przenieść sąd nad nim na później, Kapistranowi pozwolił zaś tymczasem stanąć w obronie przyjaciela.

Sąd miał zasiadać w bazylice św. Piotra. Brało w nim udział ni mniej ni więcej jak 72 oskarżycieli, przeważnie ludzi uczonych. Sam św. Bernardyn zabrał głos w swojej obronie. Po nim przemówił św. Jan Kapistran. Mowa Kapistrana tak była porywającą, a tak zarazem ścisła w dowodach i przekonywająca, iż wszystkie zarzuty przeciwko mistrzowi jego upaść po niej musiały. Sąd przyznał najzupełniejszą niewinność oskarżonego. Zaraz nazajutrz przyzwał do siebie Bernardyna Ojciec św., udzielił mu papieskiego błogosławieństwa, i nadając na nowo odebrane chwilowo prawo głoszenia słowa Bożego, nietylko pozwolił, ale zachęcił go jeszcze do rozpowszechniania czci i nabożeństwa ku Najświętszemu Imieniowi Jezus. Nasz św. Jan Kapistran wystąpił tu znowu jako chorąży i niósł procesyonalnie chorągiew poświęconą Najśw. Imieniowi, za

nim zaś postępował rzędami cały świecki i zakonny kler rzymski i tłumy ludności[1]).

W parę lat później tenże sam Marcin V zatwierdził pierwsze bractwo ku czci Najświętszego Imienia Jezus założone i dał nawet bractwu temu jeden z kościołów rzymskich na własność. Kościół ten przezwano kościołem Gesu, a z czasem miał się stać głównym kościołem Towarzystwa Jezusowego. Trzej wielcy święci, św. Bernardyn Syeneński, święty Jan Kapistran i Jakób della Marca rozkrzewili nabożeństwo ku Najśw. Imieniowi po świecie całym. Nabożeństwo to utrzymało się po dziś dzień w Zakonie Franciszkańskim i wogóle w całym katolickim Kościele.

We dwa lata później, w r. 1429, oddaje Kapistran znakomitą usługę współbraciom swym, Obserwantom. Sprawa była podobna, gdyż oskarżono tym razem przed Stolicą Apostolską Obserwantów o to, jakoby wprowadzali różne nowości do nauki Kościoła. — Sprowadzono do Rzymu aż 150 braci, by się oczyścili z zarzutu. Prawdziwy popłoch i przestrach ogarnął braci, gdyż nie mieli pomiędzy sobą żadnego z przełożonych, któryby ich bronił; nie wiedzieli zresztą wcale

[1]) Na wieczną tej chwili pamiątkę ustanowiła Stolica Apostolska święto Imienia Jezus, które obecnie cały świat katolicki obchodzi.

o co ich oskarżono. Wśród ogólnego przygnębienia w oczekiwaniu chwili sądu podnosi się wówczas głos Kapistrana i rzecze: »Ojcowie i bracia, wiadomo Wam dobrze, iż zostaliśmy przywołani tutaj na rozkaz Ojca świętego. Nie wiemy jeszcze, co mogło nakłonić Papieża do wydania owego rozkazu. W każdym razie, skoro przywołano nas tak licznie, zdawaćby się mogło, iż chodzi tu o rzecz bardzo ważną i prawdopodobnie grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Podaję wam zatem, ojcowie i bracia, swoją radę, abyśmy wybrali ze swego grona jednego (obrońcę), który, gdy zajdzie tego konieczność, potrafi odpowiadać przed sądem za nas wszystkich«. Rada ta trafiła wszystkim do przekonania, na obrońcę zaś i zastępcę swego obrali bracia wnioskodawcę. Po kilku dniach stawiono wszystkich oskarżonych przed sądem, złożonym z trzech kardynałów, którym Ojciec święty polecił zbadanie sprawy. Ni mniej ni więcej jak przez całe trzy godziny musieli bracia Obserwanci wysłuchiwać przeróżnych oskarżeń: zarzucano im najróżnorodniejsze występki i zbrodnie, twierdząc przedewszystkiem, iż niedość, że sami są heretykami, ale że krzewią i rozsiewają po świecie wszelkie możliwe herezye. W odpowiedzi na te zarzuty zabrał głos Kapistran i poprosił, aby wolno mu było prze-

mówić w imieniu towarzyszy. Na to odrzekli sędziowie: »Teraz musimy przerwać posiedzenie, gdyż jest to czas obiadowy«. Ale Kapistran odpowiedział, iż nie czas myśleć o obiedzie w chwili, gdy tak niebywała potwarz i krzywda spotyka braci Chrystusowych. Pozwolono mu tedy mówić. Wówczas to Kapistran powtórzył najpierw z pamięci wszystkie oskarżenia i zarzuty po kolei, tak jak były stawiane, poczem z nadzwyczajną swadą i łatwością zaczął zbijać jeden po drugim, opierając się głównie na cytatach z Pisma świętego. Sędziowie wpadli w zdumienie. Zdumiewała ich i wymowa i nauka i niezwykła pamięć Kapistrana. — Odwołali więc swoje zarzuty, oskarżycielom zaś surowo nakazano milczenie.

W rok potem, tj. w r. 1430, zwołano do Assyżu kapitułę generalną zakonu świętego Franciszka. Kapituła owa miała niezmierne znaczenie w historyi Żakonu w tym okresie. Wezwano do Assyżu zarówno Obserwantów jako i Konwentualistów — tak przezywano ich obecnie — gdyż było gorącem życzeniem Ojca świętego, aby wspólnie podjęte dzieło reformy zakończyło szczęśliwie spory w Zakonie. Przewodniczył obradom kardynał Jan Cervantes, ale duszą zgromadzenia był niewątpliwie nasz święty Kapistran. Jemu to zawdzięczano, jego radom i wymowie, iż za-

panowała nareszcie jedność przekonań wśród zgromadzonych, i że na dowód tejże jedności postanowiono wspólnemi siłami ukarać wszelkie nadużycia, jakie się były do Zakonu wkradły. Złożono tedy z urzędu ministra generała Zakonu Antoniego z Massa, ponieważ okazał się zbyt skłonnym do ustępstw w regule. Nie popadł on bynajmniej jednak w niełaskę, gdyż został niebawem biskupem. Na następcę jego wybrano Wilhelma z Casali, człowieka cieszącego się ogólnym szacunkiem i miłością. Obradowano następnie nad wielu ważnemi a spornemi kwestyami.

Gdy już co do wszystkiego zapanowała powszechna zgoda, zwrócono się raz jeszcze do Kapistrana, powierzając mu ułożenie ustawy, któraby obejmować miała wszystkie uchwały i rozporządzenia Kapituły. Na wezwanie Legata papieskiego odczytał Kapistran ustawę ową na ogólnem zebraniu Kapituły. Obecni przyjęli ją jednogłośnie z wielkim zapałem i zaprzysięgli uroczyście. — Ustawa ta nosi miano Marcinowskiej, ponieważ zatwierdził ją papież Marcin V.

Przed zamknięciem obrad powierzyła jeszcze Kapituła naszemu Świętemu ważny urząd pomocnika generała Zakonu. Na stanowisku tem mógł dalej służyć radą i łatwiej przyczyniać się do dzieła reformy. Niestety jednak niedługo trwać miała tak mozolnie

przeprowadzona jedność w Zakonie. Ustawa Marcinowska przeżyła jednak wieki i stała się podstawą przyszłej reguły i ustawodawstwa zakonnego. Święty nasz pozostał na urzędzie Apostolskiego komisarza dla Obserwantów aż do r. 1438.

W tymże 1438 r. mianował go Ojciec św. inkwizytorem swoim na całą prowincyę rzymską, Marchię Ankońską i Księstwo Spoleto w nowej walce przeciwko sekcie Fraticelli. Następcy Marcina V, papieże Eugeniusz IV, Mikołaj V i Kalikst III nietylko że zatwierdzili Kapistrana w tej godności, ale rozciągnęli inkwizytorską władzę Świętego na cały znany podówczas świat katolicki. Nie dziw więc, że do końca żywota swego walczył Święty nasz z herezyą wszędzie i starał się ją zewsząd wypleniać, i że wobec zatwardziałych heretyków bywał nieraz bardzo surowym. Aby surowość tę zrozumieć dzisiaj, wartoby nam przypomnieć, iż tacy Fraticelli np. nie byli, jak sekciarze dzisiejsi, ludźmi o fałszywych pojęciach religijnych, którzy pod innym względem mało mogą zaszkodzić światu, ale że stanowili podówczas prawdziwą zarazę moralną i zagrażali zarówno podstawom społecznego bytu jako i nauce Kościoła.

Kapistran zresztą, gdy musiał karać, nie miał najmniejszego względu na osobę oskar-

żonego, na jej wysokie stanowisko lub majątek. Zdarzyło się n. p. iż pewna wielka pani rzymska, z możnej rodziny Colonnów, osoba bardzo wpływowa utrzymywała związki ze sektą Fraticellów. Dowiedziawszy się o tem, Kapistran natychmiast damę ową uwięził i nie wypuścił jej z więzienia, dopóki się uroczyście herezyi nie wyrzekła.

Nie znając co to uczucie bojaźni, umiał wzamian wzbudzać postrach wśród heretyków. Pewnego dnia, a było to w czasie jednej z podróży misyjnych, oddalił się bardzo od towarzyszy i szedł samotnie. Nagle otacza go zbrojna zgraja sekciarzy, którzy jak się potem okazało, czyhali tu właśnie na jego życie. »Gdzie jest Brat Jan z Kapistranu?« — pytają groźnie. »Jestem nim« — śmiało i dobitnie odpowiada Święty. Odwaga Kapistrana w podziw wprawiła złoczyńców, a taka biła ze słów jego moc i potęga, że strachem przejęci czemprędzej uciekli, nie spełniwszy zbrodni.

W r. 1437 Ojciec święty Eugeniusz IV posyła Kapistrana do Wenecyi, by wraz ze św. Wawrzyńcem Justiniani przeprowadził tam śledztwo w sprawie Jesuatów[1]), oskarżonych o różne przestępstwa przed kuryą

---

[1]) Zgromadzenie, założone w r. 1367 przez św. Jana Colombini. Przestało istnieć w r. 1668.

Apostolską. Obaj święci sędziowie uznali oskarżenia te za najzupełniej bezpodstawne i pospieszyli oczernionym niesłusznie zakonnikom przywrócić dobre imię.

Wkrótce potem mianuje Ojciec święty Kapistrana komisarzem Stolicy Apostolskiej na wszystkie misye franciszkańskie. Święty otrzymuje też niebawem polecenie wybrania się w daleką podróż na Wschód i do Ziemi Świętej i odwiedzenia tamtejszych misyi, aby przeszkodzić wszelkim nadużyciom, jakieby tam spotkał. Święty nasz nie może jednak wyruszyć w podróż przed upływem roku.

Najpierw zatrzymywano go we Włoszech, potrzebując rad jego w toczących się właśnie przygotowaniach do soboru Feraryjskiego — powtóre zaś rozchorował się niebawem sam w Weronie, dokąd biskup z Ostii wysłał go był na misyę. Dzięki to owej niewczesnej chorob ieŚwięty nasz nie mógł również przemawiać na otwarciu soboru, jak to zdawna już ułożono[1]). Wkrótce jednak przybywa Kapistran wraz ze św. Bernardynem i Jakóbem della Marca na Sobór i w wielu jeszcze obradach głos zabiera, poczem dopiero wyrusza na Wschód. Stanąwszy w Jerozolimie, widzi ze zgrozą i prze-

---

[1]) Patrz list biskupa Feraryjskiego, u Waddinga, 11, 33.

rażeniem, iż duch niezgody opanował tutejszych zakonników. Przysłanego im przez Ojca świętego kustosza czyli przełożonego Zakonu, O. Gandolfa z Sycylii, przyjmują z oznakami najwyraźniejszej niechęci i wielu nawet odmawia mu wprost posłuszeństwa. Święty nasz rozstrzyga niezwłocznie sprawę: Ojcu Gandolfowi należy się posłuszeństwo, kto zaś słuchać nie chce, tego wyprawia z powrotem do Europy. W czasie pobytu swego na Wschodzie powściąga Kapistran wiele jeszcze różnych nadużyć, najwięcej zaś trudności sprawiają mu Franciszkanie w Caiffa, dzięki bowiem stosunkom z bogatymi kupcami chrześcijańskimi w tym mieście pozwalali sobie bracia na różne uchybienia w regule.

W czasie pobytu na Wschodzie spełnia Kapistran inne jeszcze, stokroć ważniejsze w skutkach, zadanie: oto zagaja w imieniu Ojca świętego obrady z naczelnikami Armeńskiego kościoła i podnosi sprawę unii z Kościołem Rzymskim. Z jego to namowy uradzono wysłać delegatów na sobór powszechny. Niebawem święty nasz w towarzystwie owych delegatów armeńskich podąża do Europy. Sobór obraduje tymczasem dalej, ale przenosi się do Florencyi[1]). —

[1]) Dokumenty u Waddinga 11, 71.

Pamiętny ten w dziejach Kościoła sobór Florencki dokonał wiekopomnego dzieła Unii pomiędzy kościołami greckim i armeńskim a Kościołem rzymsko-katolickim. Ważny pozostał nam dotąd z prac soboru tego dokument, na który się zawsze jeszcze teologowie katoliccy powołują. Nosi on nazwę »Instrukcyi dla Armeńczyków« a zawiera wykład nauki Kościoła katolickiego o Sakramentach świętych, spisany i podany dla Greków i Armeńczyków i przez nich uroczyście przyjęty.

Gdy jednak Sobór Florencki tak wielkie dzieło Unii z Kościołem Wschodnim przeprowadza, inne zgromadzenie, nieprawnie przezwane soborem bazylejskim, przygotowuje nowy rozłam na Zachodzie. Sobór ten nieprawy odbywał się pod patronatem króla francuskiego Karola VII oraz księcia Burgundyi i Medyolanu. Skoro tylko patryarcha konstantynopolitański i cesarz grecki wylądowali we Włoszech, by podążyć na Sobór powszechny, starano się skierować ich ku Bazylei, twierdząc, że tam Sobór ów się odbywa. Nie udało się to jednakże. Nie poprzestano wszakże na tem kłamstwie. Niebawem przedstawiciele bazylijskiego Soboru wybrali z grona swego antypapieża, ks. Amadeusza Sabaudzkiego, pod imieniem Feliksa V.

Prawowity papież Eugeniusz IV pragnął jednakże dojść do jakiegoś porozumienia z buntowniczymi kardynałami, zasiadającymi w Bazylei, i pragnął skierować ich na dobre tory. Żaden jednak z wiernych mu kardynałów nie chciał podjąć się trudnej tej misyi. Wybór Ojca świętego padł tedy na Wilhelma z Casali, generała Franciszkańskiego Zakonu, człowieka, cieszącego się ogólnem poważaniem w całej Francyi. Tego posłał na dwór króla francuskiego, Karola VII-go. Jan Kapistran powołany zaś został do pertraktacyi z księciem burgundzkim i sabaudzkim. Misye obu znakomitych Franciszkanów odniosły jak najpomyślniejszy skutek, i tak król, jako też i buntowniczy książęta pojednali się wkrótce ze Stolicą Apostolską. Nasz Kapistran tak już podówczas słynął ze świętości, iż w czasie podróży lud przyjmował go wszędzie z najwyższą czcią i radością, nietylko już jako papieskiego legata, ale jakoby anioła Bożego, zstępującego z niebios na ziemię. Małżonka samego księcia Burgundyi nie wahała się odbyć długiej i uciążliwej podróży, aby tylko módz oglądać świętego i poprosić go o błogosławieństwo dla maleńkiego swojego synka.

Nie dziw, że stronnicy antypapieża Feliksa V nie posiadali się ze złości, widząc, jak ci dwaj fraciszkańscy mnisi obalili wszyst-

kie ich rachuby, pozbywając ich pomocy najpotężniejszych popleczników. Po dwakroć próbowano otruć Kapistrana — nadaremnie! Obaj legaci szczęśliwie powrócili do Rzymu, gdzie Ojciec św. wobec całego kolegium kardynałów wyraził im swą wdzięczność i oddał zasłużoną pochwałę ich działalności.

Od r. 1438 tedy, jak widzieliśmy, tj. od chwili wezwania go na sobór do Ferary, Kapistran porzuca swój długoletni urząd komisarza reguły Obserwantów, oddając się na szczególniejsze usługi i polecenia Stolicy Apostolskiej. Zakon jednak, a przedewszystkiem bracia Obserwanci nie dają za wygraną i nie przestają na niego liczyć. Dotychczas głową i naczelnikiem Zakonu był św. Bernardyn, który jako wikaryusz generalny[1]) rządy w ręku swym dzierżył i sprawował. Ale św. Bernardyn w podeszłych był latach i wiek przytłaczał go coraz bardziej. Przydzielono mu więc do pomocy Kapistrana, mianując go w r. 1441 wizytatorem i kustoszem wszystkich klasztorów reguły Obserwantów w prowincyach Genui, Medyolanu i Bolonii.

---

[1]) Tytułu tego używał aż do r. 1517 przełożony naczelny Obserwantów; w r. 1517 ustanowiono dwóch osobnych Generałów, jednego dla obserwantów, drugiego dla nie-obserwantów.

W początkach następnego roku umiera Wilhelm z Casali, generał Zakonu, a równocześnie i św. Bernardyn ustępuje z urzędu. Rok cały mija zanim zebrano nową Kapitułę Generalną, podczas zaś roku tego rządy spoczywają w ręku Alberta z Sartiano, wikaryusza generalnego Zakonu. Albert nadaje Kapistranowi rozległą bardzo władzę, mianując go komisarzem, wizytatorem oraz reformatorem reguły Obserwantów na całą Francyę, Touraine, Burgundyę, Anglię i Irlandyę oraz wszelkie zaalpejskie prowincye. Ojciec święty zatwierdza ten wybór i w brewe, wydanem na ręce Kapistrana, rozkazuje mu dołożyć wszelkich sił i starań, aby przywrócił do posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej mnichów, którzy z bojaźni przed królem i książętami, lub też dzięki fałszywym naukom soboru bazylejskiego, złożyli obediencyę antypapieżowi Feliksowi V.

W brewe nie wspomniano ani słówkiem o siostrach Klaryskach, ani też i o drugiej regule św. Franciszka, pomimo, iż od niejakiego już czasu zaczął się wśród nich szerzyć duch reformy. Duszą reformy była tam św. Koleta. — Wkrótce już jednak miał Ojciec św. naprawić ów brak pamięci, oddając wszystkie zreformowane już domy Drugiego Zakonu pod jurysdykcyę św. Jana Kapistrana.

Święty uwiadamia sam o tem św. Kolettę i pospiesza zatwierdzić wszelkie przywileje, nadane poprzednio już jej Siostrom. List ów, pisany przez sekretarza Kapistrana, ale opatrzony jego własnoręcznym podpisem, przechowuje się dotąd u OO. Franciszkanów w Gandawie.

Tymczasem w r. 1443 zbiera się w Padwie kapituła. Z rozkazu Ojca Świętego postanowiono tutaj, iż Obserwanci mają odtąd podlegać władzy dwóch wikaryuszy, wybranych z grona braci zakonnej, i że władza tych dwóch wikaryuszy równać się ma władzy generała Zakonu (wikaryusz miał taką władzę nad Obserwantami jak generał nad całym Fraciszkańskim zakonem.) Święty nasz Jan Kapistran zostaje wikaryuszem na prowincyę włoską, zaś Jan Maubert na prowincye zaalpejskie.

Kapistran przyjmuje nową tę godność z pewną jakoby odrazą. Obawia się bowiem, iż wobec tylu innych spraw i zajęć, nie podoła w wypełnieniu przywiązanych do niej obowiązków. Skoro raz jednak godność tę przyjął, a przyjąć ją musiał, ze zwykłą, cechującą go we wszystkiem gorliwością, zabiera się do pracy. Objeżdża tedy prowincye zakonne, karcąc i napominając wszędzie złe, a nawołując ku dobremu i zachęcając ku wytrwałości i cnocie. Najlepszym przykładem

jednak do naśladowania dla braci będzie jego własne życie i świętość: one miały najlepiej prowadzić ich ku dobremu.

Aby lepiej przygotować się do oczekującego go w zakonie zadania, Święty nasz udaje się na górę Alwernii, do owego sanktuaryum franciszkańskiego, i tam zamyka się na czas pewien w pustelni. Tutaj to, pragnąc, aby zasiane przezeń dobre ziarno nie zginęło marnie, spisuje Kapistran cały szereg rad i statutów, według których powierzone jego pieczy prowincye zakonne rządzić się odtąd mają. Zaznaczyć tu i podkreślić nam wypada, iż w rozporządzeniach swych Święty nalega niejednokrotnie na konieczność wykształcenia religijnego i wiedzy teologicznej wśród zakonników. Dlatego też w każdej z powierzonych mu prowincyi przeznacza dom jeden na szkołę, któraby była środowiskiem naukowem dla innych domów zakonnych tejże prowincyi. Będąc człowiekiem niezmiernie wykształconym i prawdziwie rozumnym, Święty nasz wysoko cenił wartość wiedzy szczególniej zaś uznawał jej potrzebę dla ludzi, którzy oddawać się mieli służbie Bożej i pracy kaznodziejskiej. Nie przestawał też nigdy słowem i piórem ganić tych z pomiędzy braci, którzy wychwalali nieuctwo i ciemnotę, nazywając je świętą prostotą ducha.

Tymczasem dnia 20 marca 1444 r. umiera św. Bernardyn Syeneński w Aquila. Św. Jan Kapistran bawił podówczas w Sycylii, pełniąc tam obowiązki nuncyusza apostolskiego. Na wieść o zgonie przyjaciela i mistrza wybiera się jak najspieszniej w drogę do Aquila. Wyjeżdża z silnem i niezłomnem postanowieniem, aby poczynić już natychmiast pierwsze kroki do kanonizacyi ukochanego nauczyciela.

Pan Bóg błogosławi postanowieniu temu i zsyła widomy znak swego błogosławieństwa. O prawdziwości i wiarogodności faktu zaświadcza sam Swięty nasz w spisanym przez siebie żywocie św. Bernardyna. Opowiada nam tutaj, jak po nagłem swem przybyciu z Sycylii do Aquila miał tam na wielkim placu przed kościołem franciszkańskim kazanie o Matce Najświętszej. Słuchały go rzesze ludu. Gdy tak nasz Święty głosił słowo Boże, ukazuje się ponad głową jego gwiazda o niezwykłym i cudownym blasku. Wszyscy zgromadzeni słuchacze widzieli gwiazdę ową i poznali ją natychmiast, albowiem przyświecała już ona na tym miejscu i o tejże godzinie (pomiędzy trzecią a szóstą z wieczora) nad głową św. Bernardyna, gdy mówił im również o Bogarodzicy[1]). Kapistran

[1]) Było to jeszcze w 1433 r.

nie wiedział jednak nic o tem, jak również nie spostrzegł w pierwszej chwili świecącej nad głową swoją gwiazdy. Zauważywszy niebawem pewne wzburzenie wpośród słuchaczy, zastanowił się nad przyczyną tego. Wówczas to dopiero, podniósłszy głowę, ujrzał gwiazdę w pełnym blasku. Cudowne to zaiste zjawisko podwoiło w nim energię i wytrwałość, z jaką się zabrał do pracy nad kanonizacyą świętego swego mistrza.

Nie tracąc ani chwili czasu, zaraz nazajutrz wybiera się do Rzymu, aby wręczyć Ojcu św. osobiście prośbę o kanonizacyę Bernardyna. Cudowna gwiazda towarzyszyła mu w podróży i przyświecała w ciągu drogi. Widzieli ją doskonale wszyscy podróżujący z nim razem bracia, z których wielu żyjących jeszcze podówczas wymienia nasz Święty w opowiadaniu swojem.

Tymczasem z dniem każdym mnożyły się cuda za wstawiennictwem Zmarłego. Król Alfons Sycylijski, mieszkańcy Sieny i Aquili błagali Ojca św. o kanonizacyę Bernardyna. Dzięki tym ustawicznym prośbom oraz dzięki ciągłym naleganiom Kapistrana Eugeniusz IV ustanawia już w kwietniu następnego roku komisyę, złożoną z trzech kardynałów, która rozpocząć miała badanie cudów, jakie zawdzięczano zmarłemu Bernardynowi.

Tymczasem pochłaniały i gnębiły Kapistrana sprawy zakonu. Liczba Obserwantów wzrastała z dniem każdym z niesłychaną szybkością — wschodził posiew, zasiany ręką Świętego. Ugoda jednak z r. 1443, która uznawała w Zakonie podwójną władzę generała i wikaryuszy, nie okazała się zbawienną w skutkach, gdyż wynikło stąd wiele sporów i nieporozumień. Dlatego też Kapistran radził Ojcu św., aby dla dobra i spokoju Zakonu, wyjąć zupełnie Obserwantów z pod bezpośredniej władzy generała. Przystał na to Eugeniusz IV-ty i powierzył Kapistranowi zredagowanie bulli, któraby to światu ogłosiła. Bulla ta wydaną została przez Stolicę Apostolską w r. 1446, dnia 11 stycznia. Tegoż roku odbyła się w Montpellier Kapituła generalna Zakonu. W sprawie tej nie działał bynajmniej Kapistran za podnietą miłości własnej, czego dał zresztą dowód najlepszy, składając piastowany dotąd urząd wikaryusza Zakonu, z chwilą, gdy dekret papieski wszedł w życie.

Przez dwa czy trzy lata następne używał Ojciec św. Kapistrana do różnych misyi zagranicznych i wysyłał go na różne dwory, najczęściej zaś na dwór francuski, gdzie ważne toczyły się z królem układy. Już w r. 1449 jednakże powierzono Kapistranowi ponownie pełną władzę nad braćmi, mianując

go tym razem wikaryuszem generalnym reguły Obserwantów.

W pośród tak rozlicznych zajęć i ciężkich trosk nie zapomina bynajmniej nasz Święty o swoim apostolskiem posłannictwie, któremu się za młodu poświęcił. Spełniając swe obowiązki jako wikaryusz generalny i wizytując powierzone swej pieczy klasztory, święty głosi równocześnie słowo Boże i nawraca heretyków, żydów oraz wielu złe życie prowadzących katolików. W roku 1450 słynną stała się w Rzymie jego publiczna dysputa z głową Synagogi żydowskiej, Gamalielem. Święty nasz w dyspucie tej nietylko że zwyciężył, ale i przekonał przeciwnika, tak, że Gamaliel z 40 uczniami swymi przyjmuje chrzest św.

Nie zaniedbuje też Kapistran sprawy kanonizacyi św. Bernardyna, sprawy, która tak bardzo leży mu na sercu.

Śmierć Eugeniusza IV (22 lutego 1447 r.) przerwała rozpoczęty już proces kanonizacyjny. Nadmienić tu wypada, że zarówno śmierć tego Papieża jako też i wyniesienie jego na stolicę Piotrową przed laty szesnastu z góry przepowiedziane były przez Kapistrana. Oto kilka szczegółów, jakie podaje nam w tej sprawie Krzysztof z Varese.

Podczas gdy późniejszy Eugeniusz IV był jeszcze biskupem Syeneńskim łączyły go

już węzły serdecznej przyjaźni z Kapistranem. Często też zapraszał go do biskupiego pałacu. Przy pożegnaniu zwykł był Kapistran całować biskupa w rękę. Pewnego dnia jednak przychodzi Kapistran pożegnać biskupa przed wyjazdem ze Syeny i, uklęknąwszy, całuje go w nogę. Zdumiony biskup pyta, co to ma znaczyć. Na to nasz Święty: »Gdy się na przyszły raz zobaczymy, będziesz już papieżem«.

W podobny też sposób przepowiedział Kapistran tyarę papieską Tomaszowi Parentucelli tj. późniejszemu Mikołajowi V. Na dwa lata przed wstąpieniem na Stolicę Piotrową został Parentucelli biskupem Bolonii. W sam dzień jego konsekracyi na biskupa tak się doń nasz Święty odezwał: »Oto zostałeś dzisiaj biskupem bolońskim, czego ci winszuję. Zajdziesz jednakże dalej jeszcze, zostaniesz kardynałem, a wreszcie papieżem«. Uśmiechnął się na to biskup niedowierzająco, na co nasz Święty: »Widzę, że jesteś prawdziwym Tomaszem, gdyż jesteś niewiernym jak Tomasz«. Skoro zaś spełniła się jego przepowiednia, Kapistran pospieszył napisać do nowoobranego papieża: »Przekonałeś się, Ojcze św., iż byłeś niewiernym Tomaszem, kiedy nie chciałeś mi wierzyć«. Dowiadujemy się na podstawie tegoż samego źródła, iż Święty nasz zgon Eugeniusza IV przewi-

dział i przeczuł i to w samejże chwili jego śmierci. Kapistran bawił podówczas w Aquila. Krzysztof z Varese opowiada nam, iż Święty odmawiał właśnie brewiarz z jednym z braci, imieniem Mikołaj. Gdy, według zwyczaju, doszli do modlitwy za Ojca św., brat Mikołaj zaczął się modlić za Eugeniusza. Przerwał mu jednak Kapistran. »Powiedz Mikołaj« rozkazał. Zaśmiał się na to tamten i rzecze: »Ja nie zostanę nigdy papieżem«, a skończywszy pacierze, dodał jeszcze żartobliwie: »Gdybym kiedykolwiek został papieżem, zrobiłbym Cię niechybnie kardynałem«. Wówczas to powiedział mu Kapistran, iż Eugeniusz skonał, a następca jego nosić będzie imię Mikołaja.

Jedną z pierwszych czynności Mikołaja V było ustanowienie, na wzór poprzednika, komisyi z trzech kardynałów złożonej w celu zbadania cudów, jakie się za wstawiennictwem św. Bernardyna działy. Nie poprzestając na tem, rozkazał Mikołaj V dwom biskupom przeprowadzić śledztwo na własną rękę, wreszcie zaś upoważnił trzeciego biskupa do samodzielnych poszukiwań.

Wszystkie trzy komisye miały niebawem orzec autentyczność cudów, przypisywanych św. Bernardynowi. Nie obeszło się przytem bez pomocy i udziału Kapistrana, który sprawy tej nie spuszczał z oka i polecał ją

raz po raz pamięci Ojca św. i kardynałów. A jednakże, pomimo wszystko, nie brakło opozycyi i to w wielu naraz obozach. Św. Bernardyn naraził się był wielu ludziom za życia i wrogowie jego podnieśli teraz głowę. Zaczęto tedy rozgłaszać o nim różne uwłaczające i złe plotki. Dlatego też nasz św. Kapistran na wpół żartem, w gruncie zaś ze smutkiem w duszy zwykł był mawiać: »Błogosławiony Bernardynie, módl się za sobą«. Wówczas to również, gdy sprawa zdawała się już być przegraną, miał Kapistran powiedzieć Ojcu św.: »Pozwól Ojcze święty, aby złożono ciało bł. Bernardyna na stosie, mnie zaś dozwól stanąć obok. Jeżeli i zwłoki Bernardynowe i ja zginiemy w płomieniach, stanie się to z winy moich grzechów. Jeśli byśmy jednak ocaleli, uznaj w tem widomy palec Boży«.

Zdarzyło się właśnie, iż zmarł w owym czasie bł. Tomasz z Florencyi, braciszek zakonu Obserwantów, i że nad ciałem jego zaczęły się dziać cuda. Wrogowie św. Bernardyna ujrzeli w tem nowy szkopuł i przeszkodę do jego kanonizacyi, gdyż wielu ludzi zaczęło mawiać: »Widocznie, że wszyscy bracia Obserwanci czynią cuda«. Udał się więc nasz Kapistran na grób Brata Tomasza i w takie przemówił do zmarłego słowa: »Błogosławiony Tomaszu, w ciągu życia

swego odznaczałeś się zawsze cnotą posłuszeństwa i wiernie spełniałeś rozkazy przełożonych. W imię więc świętego posłuszeństwa rozkazuję ci dzisiaj, zaprzestań czynienia cudów, abyś nie stanął na przeszkodzie kanonizacyi bł. Bernardyna«. Taka prostota i ufność w wierze spodobały się widocznie Panu Bogu, gdyż od tej chwili nie stał się żaden cud nowy u grobu bł. Tomasza, skoro zaś uroczyście ogłosił Kościół Bernardyna świętym, poczęły się dziać cuda jak za dawnych czasów[1]).

Razu pewnego w czasie procesu kanonizacyjnego rzekł Mikołaj V-ty do Kapistrana: »Któż zajmie się kanonizacyą twoją, Bracie Janie?« Na co nasz Święty daje pełną głębokiej pokory odpowiedź: »Nie mnie grzesznemu o takich rzeczach myśleć«. Nie takiem było jednakże zdanie biskupów, którzy przy prowadzeniu sprawy nieraz mieli sposobność poznania się na wartości Kapistrana. Twierdzono powszechnie, iż mieli się o nim tak wyrazić: »Pragnęlibyśmy bardzo doradzić Ojcu św., aby wraz z bł. Bernardynem kanonizował i Brata Jana«.

Po sześciu latach trosk i trudów wytrwałość i praca naszego Świętego miały być na-

---

[1]) Dopiero papież Klemens XIV po upływie paru wieków beatyfikował bł. Tomasza z Florencyi.

grodzone. Po długiem i drobiazgowem śledztwie, ścisłem zbadaniu cudów, wysłuchaniu wszelkich zarzutów przeciwników i obaleniu ich kolejnem, ogłoszono nareszcie uroczyście kanonizacyę św. Bernardyna. Było to w roku jubileuszowym 1450, w samą niedzielę Palmową w bazylice św. Piotra. Nieprzeliczone tłumy mieszkańców i pielgrzymów brały udział w uroczystości. Samychże Franciszkanów było 3800, wśród nich zaś nasz św. Kapistran i św. Dydakus.

Przeprowadzeniem i dopełnieniem dzieła kanonizacyi swojego ukochanego mistrza zamyka Kapistran okres pracy apostolskiej w kraju rodzinnym, we Włoszech. Powołuje go Pan wówczas do nowej dla niego pracy, która stać się miała najwyższą chlubą, chwałą i zasługą żywota Świętego.

Rozdział V.

Niemcy i Polska.

W połowie XV. wieku święty nasz Jan Kapistran był już postacią sławną i znaną w całej ówczesnej Europie, a imię jego przechodziło z ust do ust. Kardynałowie i biskupi, tak włoscy jako i zaalpejscy, marzyli o tem, aby Święty zechciał głosić słowo Boże w ich dyecezyach i współubiegali się o ten zaszczyt. Nowa praca i nowe życie czekało jednak Kapistrana. Pomimo, że do spełnienia dzieła tego nie brakło mu ani stósownego przygotowania, ani też wytrawności, potrzebował jednakże użyć całego zasobu głębokiej i gruntownej wiedzy, siły, wymowy i żarliwości uczuć religijnych, aby sprostać oczekującemu go zadaniu.

W połowie XV. wieku na tronie cesarskim zasiadał nieudolny Fryderyk III. i patrzał ze zgrozą, jak do rozległych dzierżaw i prowincyi św. Imperium wkradały się przeróżne herezye i kacerstwa, zagrażające pokojowi i porządkowi w państwie. Hussyci, Taboryci, Adamici i inni kacerze stawali już

nietylko w naukach swoich w jawnem przeciwieństwie do nauki Kościoła, ale burzyli przytem porządek społeczny i podkopywali podwaliny wszelkiej władzy. Z tego to powodu, cesarz, dbając zarówno o swoją władzę i zachwiany tron, jako też i o dobro moralne poddanych, zwrócił oczy na Kapistrana i zapragnął wezwać go sobie do pomocy, sądził bowiem, iż nikt nie podoła lepiej walce ze złem.

W takim to celu, z początkiem r. 1451 wysyła Fryderyk do Rzymu, do Mikołaja V. poselstwo, z sekretarzem swym Eneaszem Sylwiuszem Piccolomini[1]) na czele. Posłowie prosić mają Ojca św., aby pozwolił Kapistranowi udać się do Niemiec. Dwa ważne czekają go tam zadania: odzyskanie Czech i sąsiednich im krajów dla Kościoła katolickiego, oraz rozjemstwo w sporach pomiędzy cesarzem a książętami Rzeszy. Do próśb cesarza dołącza swe prośby brat cesarski, arcyksiążę austryacki Albrecht. Ojciec św. chętnie wysłuchuje poselstwo i do próśb tylu nakłania ucha. Posyła tedy Kapistrana do Niemiec, mianując go na wyjezdnem komisarzem Stolicy Apostolskiej oraz inkwizytorem generalnym.

[1]) Dawniej był on sekretarzem cesarskim, obecnie zaś biskupem Syeneńskim. Następnie zostaje kardynałem, a wreszcie papieżem (1458—1464) pod imieniem Piusa II.

Zaraz po Wielkanocy opuszcza nasz Święty Wenecyę, gdzie w czasie Wielkiego Postu miewał nauki i pospiesza do Rzymu. W Rzymie miał naradzić się z Ojcem św. i otrzymać przed wyruszeniem do Niemiec papieskie błogosławieństwo. Stamtąd podążą nasz święty do Assyżu, gdzie dni kilka spędza na modlitwie i przygotowaniach do podróży. Wybiera też sobie 12-tu towarzyszy podróży — siedmiu Ojców Franciszkanów i pięciu braciszków zakonnych. W pośród pierwszych znajdowali się Mikołaj z Fara i Krzysztof z Varese, którzy stać się odtąd mieli tym sposobem naocznymi świadkami wszystkiego, co nam potem opisali. Mikołaj z Fara kreśli nam na wstępie jak gdyby portret świętego z tej epoki — nie od rzeczy będzie tu go przytoczyć. Kapistran nie był wysokiego wzrostu, lecz trzymał się nadzwyczaj prosto, włos jego był siwy i opadał kędzierzawo; twarz przystojna, o miłym lecz stanowczym wyrazie; postać zaś cała wzbudzała dziwną cześć i tchnęła niezwykłym spokojem. Święty miał nadzwyczaj długie ręce, sięgające mu aż po kolana — co, według Mikołaja, świadczyć miało o wielkiej sile fizycznej.

Całą długą drogę z Włoch w głąb cesarstwa, aż do stolicy Wiednia, znaczył nasz Święty licznymi cudami. Spisał je Krzy-

sztof z Varese; poprzestając jednakże na króciutkiej wzmiance o każdym, twierdził bowiem, że w Wenecyi i innych miejscowościach, przez które nasz Święty przeszedł, opisywano je dokładniej. Krzysztof przechował nam jednak całą długą listę cudów, spisując je dzień po dniu, w porządku chronologicznym, z wymienieniem nazwisk osób i miejscowości. Sprawozdanie to naocznego świadka wprawia nas w zachwyt i zdumienie. Oto np. wyjątek z niego: »Dnia 11. maja po drodze do Clemone, kobieta nawiedzona głuchotą od lat 12-tu; dnia 12 maja u OO. Franciszkanów w Clemone, dwóch głuchoniemych z urodzenia, 26 cierpiących na podagrę, jeden człowiek prawie już całkowicie niewidomy, jeden zaś lunatyk sparaliżowany na nogi; tegoż dnia po południu: sześciu ludzi niezdolnych chodzić bez kija, z powodu podagry lub innego kalectwa, jeden głuchoniemy z urodzenia, człowiek, który nie mógł poruszać ani głową ani rękoma, kobieta ślepa na jedno oko, a druga ze złamaną ręką; dnia 13 maja w tymże miejscu: trzech kulawych, siedmiu głuchych, jeden niemowa niezdolny przytem chodzić bez kija, jeden ślepy od lat 12-tu — wszyscy cudownym sposobem uleczeni«.

Gdy podróżni nasi wchodzili w granice cesarstwa i doszli do Villach w Karyntyi

grasowało tam morowe powietrze, zabierając niezliczone ofiary. Śmierć przychodziła znienacka, gdy się jej najmniej spodziewano. Ludzie padali jak muchy, w polu, przy pracy, po domach i po ulicach, tknięci rodzajem paraliżu. Nie zdolni byli ani się ruszyć, ani nawet wołać o pomoc, i tak po kilku godzinach męki konali. Wielu takich nieszczęśliwych przyniesiono Świętemu. Uzdrowił ich wszystkich, ku nieopisanej radości i zdumieniu. Łoża i nosze, na których ich Kapistranowi przyniesiono przechowywały się długo w miejscowym kościele OO. Franciszkanów, na wieczną pamiątkę cudownego uzdrowienia. Widział je tam jeszcze Mikołaj z Fara, gdy się do opisywania żywota Świętego zabierał.

Nie dziw, że gdy rozniosła się po kraju wieść o tylu cudach, dalsza wędrówka skromnych zakonników zamieniła się niebawem w istny pochód tryumfalny. Tenże Mikołaj z Fara, w liście pisanym z Wiednia do prowincyała Toskanii, opowiada, jak przyjmowało ich wszędzie uroczyście duchowieństwo, urzędnicy, oraz rzesze całe ludności, przy śpiewie hymnów kościelnych i radosnych okrzykach tłumu: »Błogosławiony niechaj będzie ten, który przychodzi w imię Pańskie«. Święty nasz głosił tedy słowo Boże zebranemu ludowi, który przeprowadzał go

nieraz z miasta do miasta; wielu zaś robiło mil kilkadziesiąt, aby go ujrzeć i usłyszeć, znosząc chętnem sercem głód, pragnienie i wszelką niewygodę.

Sypiano n. p. na gołej ziemi, byle tylko stanąć wcześniej na miejscu, z którego Święty miał nauczać, trudy zaś wszelkie opłacały się sowicie temu, kto mógł dotknąć lub też ucałować kraj jego szaty. Dnia 30 maja przybyli wreszcie nasi podróżni do Wiener-Neustadt. Oczekiwał ich tam już cesarz z całym dworem, pragnąc powitać Świętego u bram swej stolicy i wprowadzić go osobiście do Wiednia. Dziwny to był zaiste widok, gdy najpotężniejszy z książąt chrześcijańskich składał w ten sposób hołd ubogiemu franciszkańskiemu mnichowi. Wiedział jednak dobrze Fryderyk III. co robi i kogo przyjmuje i mógł się śmiało radować i szczycić, witając posłańca Bożego w granicach swego państwa.

Na ośm mil przed stolicą wystąpiło naprzeciw Kapistrana duchowieństwo, rada miejska, doktorzy i bakałarze uniwersyteccy, przedstawiciele gild kupieckich i cechów, oraz nieprzeliczone rzesze ludności. Wprowadzono go tryumfalnie w mury Wiednia. Przez dni 50 głosił nasz Święty słowo Boże w stolicy. Przybywano z Węgier, Moraw i Bawaryi, aby go usłyszeć. Tłum słuchaczy

rósł z dniem każdym. Bywało w pośród nich sporo heretyków nawet, lecz ci wyrzekli się niebawem swych błędów i powrócili na łono prawdziwego Kościoła, oglądając na własne swe oczy cuda, przypominające czasy apostolskie. Albowiem cuda mnożyły się z dniem każdym. Spisuje je tu znowu Krzysztof z Varese z równą dokładnością, jak czynił to w czasie podróży, lecz ma jeszcze o wiele więcej do roboty. Zdarzało się nieraz, iż kazania Świętego słuchał tłum stutysięczny. Mikołaj z Fara, w liście wspomnianym już powyżej dodaje, iż widywał czasem 3 do 4 tysiączne rzesze nieszczęśliwych, oczekujących cudownego uzdrowienia z ręki Kapistrana.

Kiedy w niedzielę Zielonych Świątek nie zdarzył się cud żaden, nieopisane zdumienie ogarnęło ludność. Dziwiono się daleko więcej, aniżeli to czyniono na widok wielu cudów, tak już byli wszyscy do cudów przywykli. Towarzyszący Świętemu ojcowie twierdzili również, iż Pan pragnie najwidoczniej wypróbować cierpliwości sługi Swego. Zganił jednak Święty podobne mowy. »O ludzie małej wiary — rzecze — czemu wpadliście w zwątpienie? Ujrzycie jutro moc i chwałę Bożą.« Słowa te spełnić się miały niebawem, gdyż nazajutrz oglądano aż 20 nowych cudów.

W dzień Trójcy św. naliczono cudów 23, z których jeden szczególniej zasługuje na wspomnienie. Oto pewne 17-letnie dziewczę leżało już na łożu śmierci. Rodzice dziewczyny troszczyli się bardziej o pogrzeb córki aniżeli o jej wyleczenie, które wydawało im się niemożliwością. Któż opisać zdoła radość ich i zdumienie, gdy na słowa św. Kapistrana: »W imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa rozkazuję ci, wstań i chódź«, dziewczę powstało z łoża boleści, jak gdyby się co dopiero przebudziło ze snu i zaczęło chodzić z największą łatwością, niepomne na to, iż Święty wyrwał je przed chwilą ze szponów śmierci.

Są to fakta, stwierdzone przez naocznych świadków, którzy je natychmiast lub też w bardzo krótkim przeciągu czasu po oglądaniu spisali[1]). Gdyby opowiadanie ich było fałszywem, współcześni zarzuciliby im niechybnie kłam.

Gdybyśmy dziś jednak posądzali współczesnych o przesadę, to posłuchajmy co mówi o tem Eneasz Silwiusz Piccolomini, jeden z najpotężniejszych i najbardziej trzeźwych umysłów owej epoki. Oto co pisze Piccolomini w swej »Historyi Fryderyka III.«:

---

[1]) List Mikołaja z Fara pisany był w 28 dni po przybyciu Świętego do Wiednia.

»W owym czasie przybył do Niemiec Jan Kapistran i poprzez Karyntyę i Styryę dotarł do Austryi. Witał go wszędzie po drodze radośnie lud i występowało naprzeciw niemu duchowieństwo z relikwiami świętych. Przyjmowano go jako legata Stolicy świętej, jako apostoła, głoszącego słowa prawdy, i jako zesłanego od Boga proroka. Ludność schodziła tłumnie ze swych gór, aby powitać Jana, jak gdyby witała św. Piotra czy św. Pawła, lub którego z apostołów. Całowano kraj jego szaty, znoszono i składano chorych i nieszczęśliwych u stóp jego, a wieść głosi, iż wielu bardzo zostało uzdrowionych. Zatrzymał się dni parę w Wiener-Neustadt, prostując drogi Pańskie i nawoływując do pokuty. Sława cudów Kapistranowych dotarła tymczasem do Wiednia: »oto przybył człowiek święty, apostół Boży, który wydalił morową zarazę z granic kraju, który naucza odwiecznych prawd Bożych, pogardza pieniędzmi i bogactwem; ucieka od czczej chwały ludzkiej i żyje jak najskromniej. To też całe rzesze ludu spieszą na jego spotkanie. Starszyzna miejska wita go i wprowadza w mury Wiednia. Nie było w mieście dość obszernego placu, któryby zdołał pomieścić zebrane tłumy... Ludność spoglądała na Kapistrana jako na anioła Bożego, zesłanego dla niej na ziemię.«

Oto znowu jeden z licznych cudów Świętego, opisany przez Krzysztofa z Varese, dziwniejszy i cudowniejszy jeszcze od wielu innych, jeśli się tak wogóle wyrazić można. »W Hofflein, w okolicy Laab, pewna kobieta imieniem Klara, żona krawca Piotra, piekła chleb w sobotę około południa. Tymczasem córeczka jej, Katarzyna, na którą nikt nie zwracał uwagi, wpadła do studni w pośrodku wsi i utonęła. Ciało dziewczynki odnaleziono dopiero w poniedziałek. Skoro je tylko wydobyto ze studni, matka i brat dziewczynki, Wawrzyniec, przewieźli je pokryjomu do Wiednia. Gdy jednak doszli do miejsca, na którem kazał Swięty, tłum był tak wielki wokoło, iż nie sposób się było przecisnąć. Stroskana matka nie straciła jednak odwagi. Uklękła jak tylko mogła stosunkowo najbliżej świętego męża, i tak, trzymając zwłoki dziecka swego na ręku, otrzymała Jego błogosławieństwo, poczem pospieszyła do kaplicy św. Bernardyna, by tam się pomodlić. Tam to, spojrzawszy w twarz dziecka, przekonała się z radością i wdzięcznością, iż dziewczynka żyje. Nic nikomu nie mówiąc, powróciła do domu i tu dopiero zaczęła rozpowiadać wszystkim o tem, co ją spotkało.«

Swięty nasz jednakowoż nie był jeszcze u celu swej podróży i pracy, jaka nań cze-

kała i dla której przybył z dalekich Włoszech. Głównem wszakże ogniskiem sekciarzy i jakoby twierdzą husytyzmu były Czechy. Dzięki nadzwyczajnej zaiste pobłażliwości Husytów dla wszystkiego co katolickiem nie jest, namnożyło się w tym nieszczęsnym kraju sekt bez liku, a to sekt bez czci i wiary, zagrażających moralności i dobru społecznemu[1]). Stąd też rozchodziła się jakby zaraza heretycka po całej północnej Europie. Wszelka więc walka z kacerstwem musiała być bezskuteczną, dopóki nikt nie dotarł do źródeł złego. Dlatego też z końcem lipca opuszcza nasz Święty za zezwoleniem cesarza Wiedeń i podąża do Czech. Spotyka się tam jednakże z mnóstwem przeszkód i trudności, z których wiele było i pozostało nie do przezwyciężenia.

Od r. 1444 rządził w Czechach Jerzy z Podiebradu, gorący zwolennik i opiekun Husytów. Sprawował on rządy w imieniu małoletniego Władysława V. Pogrobowca, króla Czech i Węgier, dzieląc je z drugim współregentem. Zdarzyło się, że właśnie

[1]) Najgorsi byli Taboryci i Adamici. Trudno nam dzisiaj dać wiarę temu, co ci sekciarze wyprawiali i na co sobie pozwalali. Niechaj wystarczy ten szczegół, że Adamici stąd otrzymali swą nazwę, iż na wzór praojca Adama nie uznawali żadnej odzieży.

w r. 1451, t. j. w roku przybycia do Czech Kapistrana, po długich i uporczywych walkach ze stronnictwem katolickiem w kraju, przyznano Podiebradowi niepodzielne rządy, odsunąwszy zupełnie od nich drugiego regenta[1]).

Jerzy z Podiebradu otaczał szczególniejszą opieką swą pseudo-biskupa praskiego Rokycanę, użyczając poparcia jego zabiegom. Jakkolwiek jednak biskup Rokycana uważał się za katolika i jakkolwiek potępiał nadużycia i praktyki Taborytów i innych sekciarzy, trwał wszakże sam uparcie przy tak zwanych »artykułach praskich«, które głosiły: 1. Każdemu z wiernych przysługuje prawo nauczania innych w rzeczach wiary. 2. Komunię św. należy przyjmować pod obu postaciami. 3. Duchowieństwo powinno zachowywać cnotę ubóstwa. 4. Wszelki grzech śmiertelny, spełniony publicznie, karanym być powinien przez państwo. Cztery te artykuły wiary zawarte zostały w tak zwanych »kompaktatach bazylejskich«, podczas układów toczących się pomiędzy czeskimi utrakwistami a soborem bazylejskim. Prosta przezorność kazała Podiebradowi i Rokycanie przewidzieć i obrachować z góry skutki przybycia Kapistrana. Wiedzieli dobrze, że

[1]) W r. 1459 zostaje królem czeskim.

skoro Kapistran stanie na ziemi czeskiej i zacznie nauczać i cuda czynić, lud cały niebawem pójdzie za nim, i że wówczas wpływ ich i powaga w kraju upadną bezpowrotnie. Pospiesza tedy Podiebrad z wydaniem rozkazów, aby nie wpuszczono Kapistrana w granice Czech. Przychodzi mu to tem łatwiej, iż dzięki niemieckiej straży przybocznej, jaką obdarował Kapistrana cesarz, przybycie Świętego wzbudziło wśród Czechów pewną nieufność. — Wielu jednakże panów czeskich stanęło po stronie Kapistrana, wpływ ich wszakże podówczas był bez wielkiego znaczenia. Głównym stronnikiem Kapistrana a głową zarazem katolickiej partyi w kraju był Ulryk Maynard, pan na Rosenbergu.

Święty nasz nie dał za wygraną, lecz skoro mu zamknięto drogę do Czech, począł głosić słowo Boże na Morawach[1]). Mieszkańcy Ołomuńca, Berna i innych miast morawskich przyjmowali go niemniej uroczyście i radośnie jak ludy austryackie. — Z dniem każdym działy się nowe i liczne cuda, a tysiące heretyków powracało na łono Kościoła. Wspomina o tem sam Święty w liście, pisanym do wiedeńskiego uniwersytetu: »Prześwietni magistrowie i doktorzy. Skoro

[1]) Morawy wchodziły w owych czasach w skład królestwa czeskiego, używając jednakże własnych praw i przywilejów.

znalazłem się na Morawach, wytężyłem wszystkie siły moje do zwalczenia herezyi czeskiej, jak to było zresztą moim obowiązkiem. Niepomny gróźb i nie obawiając się okrucieństwa wrogów, zacząłem nauczać publicznie i starałem się, jak tylko umiałem najlepiej i najwymowniej, odpierać ich bezbożną naukę, że Komunia św. pod obu postaciami jest do zbawienia konieczną. I stało się, iż więcej niż 4 tysiące baronów, szlachty i księży wyparło się herezyi i złożyło wyznanie wiary katolickiej w moje ręce. Wielu z podwładnych owych baronów poszło za ich przykładem«.

Wadding, który przechował nam powyższy list, zaświadcza, że mając dostęp do klasztornego archiwum w Kapistrano, widział tam na własne oczy rejestra, spisane przez sekretarza Świętego. W rejestrach tych wyliczano z nazwiska i urzędu tych, którzy powracali na łono Kościoła, podając zarazem nazwy miejscowości i wymieniając świadków ich nawrócenia. Od końca lipca 1451 r. do maja roku następnego wyliczonych jest tam z górą 11 tysięcy osób.

Rozumie się, że wieść o tylu nawróceniach doszła niebawem do Czech i narobiła tam niemało hałasu. Z osobą Kapistrana — sądzono — można sobie będzie poradzić, zmuszając go siłą do opuszczenia kraju, lecz

sława tylu cudów i tak licznych nawróceń rozejdzie się i pozostanie w państwie, podkopując na zawsze wpływy i rządy Husytów. To też Jerzy z Podiebradu i biskup Rokycana zrozumieli, iż rzeczy tak dalej iść nie mogą, i że trzeba im przedsięwziąć jakieś stanowcze kroki, jeżeli chcą się nadal utrzymać przy władzy i popularności nie stracić

Rokycana występuje tedy z długim listem do Kapistrana, pisanym w tonie przyjacielskim. W liście tym daje jednak wyraz głębokiemu swemu zdumieniu, że Święty występuje przeciwko kompaktatom bazylejskim i zwalcza takowe. Pozdrowiwszy Kapistrana w nader pochlebnych słowach, i wyraziwszy mu serdeczne życzenia swoje, aby módz go oglądać osobiście — życzenie, którego spełnieniu choroba jedynie oraz niebezpieczeństwa tak dalekiej podróży stają na przeszkodzie, — tak dalej pisze: »Ukochany Bracie w Chrystusie, wieszli, co za wieści mnie o tobie dochodzą? Oto, że niepomny bojaźni Bożej nie przestajesz prześladować i potępiać ludu bożego, to jest narodu czeskiego, oskarżając go o herezyę. Dochodzą mnie wieści, że przeciwnikiem jesteś chrześcijańskiej miłości, a siejesz niezgodę i nienawiść, i to z przyczyny Komunii św. pod obu postaciami, którą dał Kościół Boży ludowi swemu. A jednak święty sobór bazylejski,

obradujący pod przewodnictwem Ducha św. i będący najwyższym przedstawicielem Kościoła Bożego, rozkazał najwyraźniej w imię Chrystusowe, i w imię Jego Oblubienicy Kościoła, iż Komunia święta tak ma być udzielana ludowi, jak to zresztą z kompaktatów, pomiędzy owym soborem a Czechami zawartych, wynika«...

Na to odpowiada Kapistran, iż zmuszonym jest potępiać Czechów za różne przekroczenia, głównie zaś i przedewszystkiem za to, iż głoszą mylną i heretycką naukę, jakoby Komunia pod obu postaciami była do zbawienia konieczną. Proponuje tedy dysputę, godząc się z góry na czas i miejsce, jakie mu przeciwnik oznaczy.

Po parokrotnej jeszcze wymianie listów i różnych zwlekaniach wyznaczono nareszcie miejsce konferencyi. Było nim miasteczko Krummau, w Czechach, dzień zaś konferencyi wyznaczono na 28-go października. Jerzy z Podiebradu wystosował do Kapistrana pismo, przesyłając mu list żelazny, dzięki któremu mógł się bezpiecznie puścić w drogę. Kapistran nie dał na siebie czekać i stawił się na czas oznaczony. Wiemy z dziennika podróży, spisanego przez Krzysztofa z Varese, że Święty nasz przebywał w Krummau od 18 października do 14 listopada. Czekał jednak napróżno, gdyż Rokycana nie zjawił

się wcale i prawdopodobnie nie miał bynajmniej zamiaru przyjeżdżać. Podiebrad ze swej strony miał również postąpić sobie zdradliwie z Kapistranem: wydał mieszkańcom Krummau rozkaz, aby, w razie przyjazdu Świętego, nie wpuszczać go do miasta i obchodzić się z nim jako z człowiekiem wyjętym z pod prawa. Że Święty nasz w podobnych warunkach uszedł szczęśliwie przykrości i prześladowania zasługą to przedewszystkiem pana na Rosenbergu i opieki, jaką nad nim roztoczył. Kapistran był bowiem nieustraszony jak zwykle i nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, nauczał lud i czynił cuda.

Znudzilibyśmy czytelnika przytaczając tutaj długą korespondencyę, jaka się wkrótce pomiędzy Kapistranem a naczelnikami Husytów wywiązała, lub też opowiadając na jakie sposoby brali się Hussyci, by oczernić Świętego w oczach legata Stolicy Apostolskiej, kardynała Mikołaja Cusa. Doszło do tego, iż w listach i pismach swych do Kapistrana wyrażali się wprost grubiańsko i nieprzyzwoicie, puszczając wodze swej nienawiści ku jego osobie. Wszelkich szczegółów pod tym względem dostarczają nam »Roczniki« Waddinga.

Sprawa cała (tj. sprawa husycka) przybrała obrót taki, iż żadna ze stron walczą-

cych nie odniosła tu zupełnego zwycięstwa. Z jednej strony nie udało się Jerzemu i Rokycanie podkopać powagi i sławy Świętego w społeczeństwie, pomimo że w walce z nim nie przebierali w środkach, uciekając się bodaj nawet do rozsiewania różnych oszczerstw uwłaczających jego osobie — z drugiej zaś strony Czechy pozostały nadal polem zamkniętym dla pracy misyjnej Kapistrana.

A jednak cała wygrana moralna pozostaje po stronie katolickiego Kościoła. Pomimo bowiem, iż Święty nasz dotknął zaledwie po kilkakroć stopą swoją ziemi czeskiej, owoce i plony pracy jego były znaczne, skoro zdołał tam nawrócić przeszło 16 tysięcy ludzi.

Na wieść o tak niestrudzonej pracy apostolskiej Kapistrana pisze doń Ojciec św. Mikołaj V-ty własnoręczny list, oddając w nim najwyższe pochwały działalności i zasłudze Świętego. Udziela odpustu wszystkim wiernym, którzyby słuchali kazań Świętego i uczęszczali na odprawiane przezeń nabożeństwa, Kapistranowi zaś nadaje jak najszerszą władzę rozgrzeszania heretyków. List papieski datowany jest z dnia 28 października 1451 r., to jest pisany był w dniu, w którym odbyć się miała niedoszła konferencya z Rokycaną.

Zamknięto tedy przed Kapistranem to pole pracy, na które liczył najbardziej, lecz otworzyć się miały niebawem przed nim nowe i szersze jeszcze horyzonty.

Fryderyk III. życzył sobie, aby Święty głosił słowo Boże na całej przestrzeni niemieckiego imperyum. Dlatego też według dziennika podróży Krzysztofa z Varese — spotykamy niebawem z kolei Świętego w Wissenhofen, Ratyzbonie, Chebie, Hellinetz, Zwittau, Kamnitz, Fryburgu, Miśni, Syada i Brück. Podróż ta trwała od listopada 1451 r. do Zielonych Świątek 1452 r. W czasie tym nauczał nasz Święty w wielu innych jeszcze miejscowościach, a bywał przyjmowany wszędzie z oznakami najwyższej czci i radości. Zamiast wymieniać jednak dalej wszystkie miejscowości, w których się zatrzymywał, wolimy skreślić króciutki obraz pobytu Swiętego w trzech miastach, gdzie dłużej przebywał. Pozostawił tam po sobie i wyrył w umysłach i postępowaniu mieszkańców trwały i niezatarty niczem ślad swego w pośród nich pobytu.

Od 20 lipca do połowy sierpnia 1452 r. przebywa Kapistran w Norymberdze. Jeden z mieszczan norymberskich, Jan Kochleus, kreśli nam tu portret Świętego: »Ci, którym danem było widzieć go z blizka w Norymberdze — pisze Kochleus — przedsta-

wiają Kapistrana jako człowieka wzrostu niskiego, szczupłego, zmęczonego i tak wychudzonego, że nic na nim niema prócz skóry, nerwów i kości. Mimo to jednak odznacza się wesołością usposobienia, pogodą ducha, siłą i wytrwałością w pracy... Sypia w habicie, wstaje przed wschodem słońca, odmawia jutrznię, laudes, prymę i tercyę (część brewiarza), poczem odprawia Mszę św. Po skończonem nabożeństwie przemawia po łacinie, tłomacz zaś tłomaczy kazanie ludowi. Skończywszy kazanie wraca do OO. Franciszkanów. Tam odprawia sextę i nonę, poczem odwiedza chorych, wiele im czasu codziennie poświęcając. Modli się za nich, nakładając na nich ręce; dotyka ich kapturem św. Bernardyna, oraz suknią, przesiąkniętą krwią tego Świętego. Potem dopiero zabiera się do posiłku, przyjmuje tych, którzy przybyli, aby go oglądać. Po nieszporach powraca jeszcze do chorych i przebywa w pośród nich aż do wieczora. Wówczas odmawia oficyum i różne pacierze i udaje się na spoczynek. Mało jednak zażywa snu, lecz zwykł się oddawać nauce Pisma św. Zadziwiająca zaiste siła ożywiała to nikłe ciało, że nie znać na nim było ni wieku, ni zmęczenia, co łasce Bożej najwidoczniej przypisać jedynie należy. Taka przytem niezwykła moc była w słowie jego,

że ci nawet, którzy mowy Kapistrana nie rozumieli, nieraz do łez poruszani bywali przez głos Świętego i zmieniali zazwyczaj sposób życia«.

Gdy Święty nasz przybył do Lipska, zwołano tam na cześć jego walne zgromadzenie profesorów, doktorów i studentów uniwersytetu, i poproszono go, aby przemówił do zgromadzonych. Słowa Świętego tak wzruszyły obecnych, że przeszło 70 osób okazało gotowość wstąpienia do Zakonu Franciszkanów. Zanim zaś Święty opuścił Lipsk, liczba ich wzrosła do 120.

We Wrocławiu, stolicy Śląska, przebywał Kapistran od 13 lutego do końca sierpnia 1453 r. W żadnem z miast niemieckich nie zabawił równie długo. W krótkim bardzo już czasie pozyskał nasz Święty miłość, cześć i przywiązanie Wrocławian, wśród których pamięć jego przechowywała się jeszcze przez długie wieki. Musiał tam jednak walczyć z uporem i przesądami żydów i husytów. Oto zdarzenie, jakie nam Wadding o tych ostatnich przytacza. Kilku husytów zmówiło się pomiędzy sobą i, pragnąc ośmieszyć Świętego i czynione przezeń cuda w oczach ludu, na taki wpadli pomysł. Stawili się przed Świętym, twierdząc, że są katolikami, i z udanym płaczem i lamentem zaczęli go błagać, aby wskrzesił z martwych

jednego z ich przyjaciół. Przynieśli nawet ze sobą zwłoki nieboszczyka, złożone już w trumnie. W trumnie tej jednakże, zamiast zwłok zmarłego, leżał jeden z tych bezbożników, zdrów i żywy. Tłumy ludu zgromadziły się wokoło w oczekiwaniu cudu. Święty jednak z surowym wyrazem oblicza zwrócił się do błagających i donośnym głosem zawołał: »Niechajże pozostanie wśród zmarłych na wieki«, poczem się oddalił. Na to powstaje śmiech i mniemani żałobnicy zaczynają w głos szydzić z Kapistrana. »Patrzajcie ludzie — wołają do obecnych — jaki to święty i pobożny człowiek! Ucieka od nas, gdyż nie potrafi przywrócić do życia umarłego. Ale oto przekonacie się, — ciągną dalej, — iż my posiadamy w pośród siebie świątobliwszych ludzi od niego. Oto — dodają, zwracając się do jednego z towarzyszy — ty wskrześ naszego umarłego.« Na te słowa zabiera głos ów towarzysz i woła donośnie: »Piotrze, rozkazuję ci, wstań!« Cisza zalega zupełna. Nikt na głos jego nie odpowiada. Zbliża się tedy ów człowiek do leżącego na marach i dodaje szeptem: »Wstawajże. Cóż to wyrabiasz? Nadszedł czas powstania z martwych.« Niema odpowiedzi. Otwierają wieko trumny i z najwyższem przerażeniem i zgrozą widzą, iż towarzysz ich nie żyje.

Straszna to była nauka, nie pozostała jednakże bezowocną. Wielu husytów nawróciło się, przedewszystkiem zaś nawrócili się wspólnicy nieszczęsnej ofiary. Ludzie ci okazali prawdziwą skruchę i ostrą czynili pokutę, a gdy zostali już katolikami, pospieszyli wysłać dwóch z pomiędzy siebie do Rzymu, aby złożyć tam żywe świadectwo prawdzie.

Podczas gdy takie plony zbierało z pracy misyjnej Świętego państwo niemieckie, słano doń prośby z niedalekiej Polski, aby i jej przyniósł błogosławieństwo Boże obecnością swoją i nauką. Już w r. 1451 tj. roku przybycia Kapistrana do Niemiec, zaprasza go król polski, Kazimierz Jagiellończyk. Wyraziwszy ubolewanie swoje nad opłakanym stanem Czech i klęską zarazy heretyckiej, której Czechy są ogniskiem, tak dalej król Kazimierz pisze do Kapistrana: »Skoro tylko, Ojcze, dopełnisz zadania swego w Czechach, racz też przybyć do naszego Królestwa polskiego. Choćby Ci przyszło nadłożyć drogi, błagam Cię w imię miłosierdzia Bożego, nie pogardzaj prośbą wiernego Ci syna. Spojrzyj na to nasze Królestwo Polskie, które odznaczało się zawsze niezłomną swą wiernością katolickiej wierze i Kościołowi. Posiadamy zarówno i W. Księstwo Litewskie, które nasz wieko-

pomnej pamięci ojciec, wielce chrześcijański król polski Władysław, na wiarę świętą nawrócił i sprawił, iż lud litewski porzucił swe bałwany i począł cześć oddawać prawdziwemu Bogu i jego naukę wyznawać. Oba ludy naszemu berłu poddane, tak polski jako też litewski, serdecznie pragną cię oglądać, Ojcze, i bardzo proszę, abyś do nich przybył.« Następnie wspomina Kazimierz o kresach wschodnich swego państwa, gdzie z nową siłą szerzy się schizma, mówi też o Rusinach, prostym i dobrym ludzie. Łatwiej byłoby Świętemu oświecić ich i skłonić do porzucenia błędów, aniżeli wykorzenić zło w Czechach. »Napraw i uzdrów wszystko co jest złem — woła król — tak, aby dzięki twojej pracy i zasłudze stało się światło tam, gdzie dzisiaj zalegają ciemności. Wspomnij na dzieje Apostołów, w których ślady wstępujesz, — odwiedzali oni różne kraje i narody, głosząc wszędzie wieczyste prawdy Boże. Ty, który zapewniłeś już sobie, w pewnej mierze, nagrodę twych trudów, nie omieszkaj i nie zwlekaj zapewnić zbawienia ludziom, których los i nawrócenie w twoim spoczywa ręku. Wyobraź sobie, iż skoro przybędziesz, rzesze całe ludzkie poprowadzisz do nieba, jeżeli zaś będziesz się ociągał z przybyciem, pozwolisz szatanowi zabrać tylu ludzi w niewolę. Zabierz się tedy,

wielki i potężny sługo Boży, do pracy, która na cię czeka, i do jakiej cię wzywa głos mnogich narodów, do którego i my dołączamy nasze prośby.«

Już w kwietniu roku następnego ponawia prośby królewskie w liście do Kapistrana biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki. Powołuje się przytem na poprzednią swą korespondencyę ze Świętym i na daną mu przez Kapistrana obietnicę, iż nie omieszka do tych próśb się przychylić. A jednak Święty zwlekał z przybyciem do Polski. Żal mu było porzucać pracę misyjną w Niemczech, gdzie wiara św. zdawała mu się być silniej zagrożoną i gdzie miał szersze zatem i trudniejsze pole działania niż w Polsce. Kardynał Zbigniew nalegał jednak dalej. W maju 1453 r. pisze ponownie do Kapistrana, a gdy i ten list nie odnosi pożądanego skutku, wysyła doń sekretarza swego, Jana Długosza. Zadaniem Długosza było towarzyszyć Świętemu gdziekolwiekby się ten udał i przypominać mu bezustannie obecnością swoją spełnienie danej Zbigniewowi obietnicy. To też Święty zrozumiał niebawem, iż nie powinien dłużej się ociągać. Nauczał ciągle jeszcze we Wrocławiu, pragnąc rozpoczęte tam dzieło Boże doprowadzić do pomyślnego końca, zamierzał już wszakże w dalszą wybrać się drogę. Nagle jednak,

dzięki nieprzewidzianym z góry okolicznościom, zmuszony był pozostać we Wrocławiu aż do końca sierpnia. Sprawa ta nie była obojętna Polakom. Szło właśnie o zjazd przedstawicieli Kazimierza VI., króla Polski, z przedstawicielami małoletniego Władysława Pogrobowca, króla węgierskiego, przyczem obradować miano nad zamierzonym związkiem małżeńskim Kazimierza z Elżbietą, siostrą Władysławową. Miejscem spotkania i narad zobopólnych miał być właśnie Wrocław, na doradzcę zaś i rozjemcę powołano naszego Świętego. Chętnie zgodził się na to Kapistran, gdyż spokój i dobro obu królestw leżało mu bardzo na sercu. To też załatwiono wkrótce sprawę całą ku zadowoleniu stron obu, a wielkiej uciesze Wrocławian. Zanim wysłańcy polscy i węgierscy wyruszyli w powrotną drogę, pożegnał ich Święty kazaniem, zaczynającem się od słów: »Oto dzień zesłany wam od Boga. Radujmy się tedy i bądźmy weseli«.

Dnia 28 sierpnia 1453 r. staje nasz Święty nareszcie w stolicy Polski, Krakowie. Wjazd jego do Krakowa niemniej odbywa się uroczyście jak pamiętny wjazd do Wiednia, na dwa lata wcześniej. Król Kazimierz z królową matką Zofią wyjeżdżają o dwie mile za miasto, aby go tam powitać. Towarzyszy królestwu kardynał Zbigniew

w licznej asyście duchowieństwa, senatorowie, szlachta oraz tłumy nieprzeliczone ludności różnych stanów. Tak wprowadzono Świętego w mury Krakowa, przy odgłosie psalmów i pieniach radosnych ludu.

Na Rynku, przed kościołem św. Wojciecha, wzniesiono dla Kapistrana kazalnicę. Stamtąd dzień w dzień po Mszy świętej nauczał. Kazanie trwało zwykle całych dwie godzin, poczem jeden z miejscowych kapłanów tłomaczył je zgromadzonym po polsku, co też około dwóch godzin zabierało. Pobożny lud polski skwapliwie słuchał słowa Bożego. Tłumy zalegały Rynek aż do późnej jesieni. Wówczas dopiero, z nastaniem wielkich mrozów przeniesiono się do kościoła Panny Maryi.

Kapistran zabawił w murach Krakowa od sierpnia 1453 r. do 15 maja 1454 r. W ciągu tych kilku miesięcy Święty nasz przywrócił zdrowie wielu chorym, kalekom i niewidomym. Tłumy ludu napływały z wszystkich stron Polski, aby go oglądać. Przybywano też licznie z sąsiednich krajów Przeszło stu Polaków wstąpiło do OO. Franciszkanów. — Opowiada nam o tem wszystkiem Jan Długosz, arcybiskup nominat lwowski, człowiek znany z nauki i głębokiej wiedzy, a jeden z najznakomitszych dziejopisów polskich. Niczyje świadectwo nie mogłoby

tu mieć większej wagi od Długoszowego: jak wiemy już bowiem, towarzyszył on Świętemu w drodze z Wrocławia do Krakowa, poczem z rozkazu kardynała Oleśnickiego pozostał w usługach Kapistrana przez cały czas pobytu jego w Polsce.

Dnia 9-go lutego 1454 r. przybywa do Krakowa młodziutka narzeczona królewska, Elżbieta Węgierska. Ślub miał się odbyć nazajutrz. W ostatniej chwili wybucha spór pomiędzy kardynałem a arcybiskupem gnieźnieńskim, Janem z Sprowy, o to, który z nich dostąpić ma zaszczytu dopełnienia owej ceremonii. Obaj przeciwnicy godzą się jednomyślnie odstąpić zaszczytu tego Kapistranowi. Święty nie przyjmuje, wymawiając się nieznajomością tak polskiego, jak też i węgierskiego języka. Ułożono się tedy w następujący sposób: Kardynał miał dawać ślub, arcybiskup odprawiać uroczystą celebrę i koronować królowę, poczem na zakończenie uroczystości Święty miał udzielić parze królewskiej swego błogosławieństwa. Wspomnieć tu wypada, iż drugim synem, który z tego małżeństwa na świat przyszedł, był św. Kazimierz.

W maju Święty opuszcza Kraków i idzie głosić słowo Boże w różnych stronach Polski. Wybuch wojny pruskiej miał mu jednakże przeszkodzić w dalszych zamiarach. Nie do

nas należy wydawanie sądu o wynikłych pomiędzy Zakonem Krzyżackim a królem Kazimierzem sporach. Wojna ta jednakże nie była po myśli Kapistranowi. Martwiło go niewymownie, iż książęta chrześcijańscy walczą pomiędzy sobą w chwili, gdy zawisło nad Europą niebezpieczeństwo dostania się pod jarzmo tureckie. Zaledwie bowiem rok upłynął, jak Turcy zdobyli Konstantynopol, i nikt jeszcze obliczyć nie potrafił, co za następstwa i co za klęski stąd wynikną.

Dlatego też wydało się Kapistranowi, iż jego jest obowiązkiem powstrzymywać króla polskiego od chwycenia za oręż. »Należy to do obowiązków przywiązanego sługi oraz wiernego przyjaciela służyć w potrzebie dobrą radą królowi lub książętom. Dlatego też i ja, Najjaśniejszy Panie, jako najwierniejszy Twój sługa, nie mogę się powstrzymać od udzielenia Ci zdrowej a zbawiennej rady«... Tu Święty prosi Kazimierza, aby zaniechał wojny, która ma tylko ziemskiej chwały mu przysporzyć, wszakże sława wszelka i zwycięstwa są przedewszystkiem w ręku Bożem. Niechaj tedy lepiej obróci oręż swój na zwalczenie nieprzyjaciół krzyża. Działo się to w kwietniu 1454 r.

Pomimo, że Kapistran tak gorącym był przeciwnikiem wojny pruskiej, znaleźli się ludzie, zazdrośni o wpływy Świętego na

dworze królewskim, którzy nie zawahali się rozsiewać po kraju wieści, jakoby on to właśnie pchał króla do wojny. Plotki te dużo po świecie narobiły hałasu, skoro Kapistran musiał pisać do Ojca świętego dla oczyszczenia się z oszczerstwa. W liście tym oświadcza, iż rozsiewane o nim wieści są wprost przeciwnemi prawdzie; może się zresztą powołać na świadectwo kardynała krakowskiego, dwóch arcybiskupów i dwóch biskupów, oraz wielu innych panów z rady królewskiej, jako że doradzał królowi oddanie sprawy pruskiej na sąd Stolicy Apostolskiej, co mu król przyrzekł uczynić.

Nie przestawały jednak krążyć najdziwaczniejsze wieści. Sprawa przybierała z dniem każdym fantastyczniejsze rozmiary. Trudno nam dzisiaj uwierzyć, jak i skąd podobne bajki powstawać mogły i ktoby je w świat puszczał. Na dowód jednak smutnej tej historyi pozostał nam list Kapistrana, pisany do arcybiskupa Moguncyi. Donosi tu Kapistran, iż różne fałszywe o nim wieści krążą zagranicą i że wielu książąt dalej je jeszcze rozsiewa. Opowiadają tam sobie mianowicie, jakoby na rozkaz arcybiskupi wtrącono go w Polsce do więzienia za to, iż króla Kazimierza do wojny pobudzał. Łatwo przychodzi mu zbijać podobne bajki na miejscu — dodaje Święty, lecz prosi arcy-

biskupa, aby zadawał im od siebie kłam wszędzie, gdzieby się z nimi spotkał.

Przechował się również z tych czasów list legata papieskiego, kardynała Mikołaja Cusy, do Kapistrana. Z listu tego przekonać się łatwo, iż kardynał wie o wszystkiem i że plotki doszły już i do jego uszu. Wyraża się jednak z takim szacunkiem i takiem zaufaniem Kapistrana zaszczyca, jak gdyby chciał dać mu w ten sposób dowód, iż w miotane przeciwko osobie jego oszczerstwa i obelgi nie wierzy wcale. Wzywa go listem tym do Ratyzbony, pragnąc powierzyć mu tam dalsze prowadzenie dzieła pokoju, a dając równocześnie nowy dowód zaufania. Niebawem miał również i kardynał Zbigniew Oleśnicki wystosować do Kapistrana długi i obszerny list. Zdaje mu w nim sprawę z przebiegu wojny pruskiej i mówi o konieczności podjęcia walki z Turkiem wspólnemi siłami wszystkich książąt chrześcijańskich. — Człowiek i mąż stanu tej, co Zbigniew Oleśnicki, miary, nie mówiłby równie szczerze z Kapistranem, gdyby ten ostatni uległ był rzeczywiście posądzeniu o brak wierności względem króla polskiego.

Wszystkie te przykrości przeszły niebawem bez śladu w życiu tak czynnem, jakiem było życie Kapistrana. Nowe otwierały się tymczasem przed nim widnokręgi,

i nowe oczekiwały go zadania. Pozostało do spełnienia najważniejsze dzieło jego żywota, dzieło, któremu poświęcić miał swe życie, a które wzamian zapewnić mu miało nieśmiertelną i niewygasłą dotąd wdzięczność całego świata chrześcijańskiego.

Rozdział VI.

W obronie chrześcijaństwa.

Ostatnie lata życia św. Jana Kapistrana przypadają na ciężką bardzo chwilę dziejową dla chrześcijańskiego świata. Był to jeden z tych okresów przełomowych w historyi Europy, który śmiało można porównać do okresu wędrówki narodów po upadku zachodniego cesarstwa.

Zbliżało się coraz to groźniejsze dla chrześcijaństwa niebezpieczeństwo tureckie. Od zarania samego wieków średnich panowali już wprawdzie Muzułmanie w Hiszpanii, rzadko jednak bardzo wykraczali poza granice półwyspu; potęga ich tam zresztą chyliła się już ku upadkowi. Podbili sobie również oddawna już północne wybrzeże Azyi i Afryki, ale w bohaterskich wiekach krucyat nie zagrażali stąd jeszcze bezpieczeństwu Europy. Niebezpieczeństwo to zawisło nad Europą dopiero z chwilą, gdy 150

lat temu przybył ze stepów turańskich nowy szczep niewiernych i uderzył z taką siłą, że nic nie było w stanie oprzeć się jego zwycięskiemu pochodowi. Byli to właśnie Turcy. Przy końcu XIII stulecia porzuca ubogi szczep turecki, pod naporem Mongołów, swoje siedliska w stepach Azyi środkowej, rusza przebojem poprzez Persyę i Armenię i przychodzi osiedlić się u samych wrót Byzantyńskiego cesarstwa. Nazywano ich wówczas »Osmanlisami«, od imienia Osmana, ich przywódzcy. Wkrótce już miała nazwa ta przekształcić się w ustach Europejczyków na »Ottomanów« i przetrwać tak całe wieki.

Był to lud dziki, okrutny i niespokojnego ducha, żyjący jedynie z wojny i rabunku. Gdy około r. 1300 wielkie państwo Turków Seldżuków rozpada się pod naporem plemion mongolskich, dzieląc się na drobniejsze państewka, Ottomanie przychodzą tam szybko do steru rządów. W krótkim bardzo czasie zawładnęli już całym narodem i pochłonęli go jakoby. Nietylko jednak, że po zmieszaniu się takiem z Turkami Seldżukami nie zdołali Ottomanie stracić straszliwych właściwości charakteru swojego, ale przeciwnie, ożywili jeszcze tamtych niedobitków wojowniczym duchem, dodając im niejako podniety i zapału. Tym sposobem powstaje niebawem z Turków Ottomańskich

i dawnych Turków Seldżuków jeden już potężny naród turecki, tworząc wielkie państwo ottomańskie, przed którem otwiera się droga usłana zwycięstwami. Nie dziw, że tak niesłychanie szybki rozrost tego nowego państwa przejmuje strachem państwa chrześcijańskie.

Wkrótce już wszystkie główne placówki greckie na wybrzeżu azyatyckiem: Nikomedia, Nicea, Bitynia i wiele innych, wpadają w ręce niewiernych. Za rządów Amurata, inaczej zwanego Muradem I (1360—1389), trzeciego z rzędu sułtana, przepływają Ottomanie Hellespont i wkraczają do Europy. Niebawem wpada w ich ręce Rumelia. Wówczas to książęta najbardziej zagrożonych krajów, Bośnii, Serbii i Bułgaryi łączą swe siły i stają do wspólnej obrony. Pragną uderzyć na Muzułmanów i w proch ich rozsypać. Niestety, nietylko, że nie udaje im się rozgromić tureckich zastępów, ale tracą powoli sami coraz bardziej teren pod nogami.

Niebawem już w straszliwej bitwie na Kossowem Polu (1389 r.) odnoszą niewierni krwawe zwycięstwo i biorą ludy bałkańskie pod jarzmo wiekowe. Jak niesie podanie sułtan Murad pada, zabity ręką serbskiego jeńca, w chwili, gdy pełen dumy z odniesionego zwycięstwa objeżdżał w tryumfie pole bitwy. Nie odetchnęli jednak chrześcijanie

ŚW. JAN KAPISTRAN.

(Według obrazu Rivalza, 1667 — 1735, malowanego dla kościoła Franciszkanów w Tuluzie.)

po śmierci Murada. Następcą jego zostaje Bajazet I, zwany inaczej »Ilderim« czyli »Błyskawicą« a to z powodu niezwykłej szybkości ruchów wojennych i krwawych zwycięstw. Dokonał on podboju Rumelii i rozszerzył granice państwa w Azyi. W r. 1396, gdy połączone razem siły chrześcijan oblegają Nikopolis, przybywa Bajazet lotem błyskawicy z głębi Azyi, spada jak grom na głowy oblegających i straszliwą zadaje im klęskę. Najście Mongołów, walka z Tamarlanem i zwycięstwo tegoż pod Angorą w roku 1402 zatamowały na czas pewien dalszy rozwój ottomańskiej potęgi. Podczas rządów Murada II (1421—1450) zwycięstwo chyli się jakoby na stronę chrześcijan, ilekroć szczególniej staje na ich czele i wiedzie ich do boju bohater węgierski, Jan Hunyady[1]). Powoli odzyskują chrześcijanie większą część straconych prowincyi. Nagle opuszcza ich szczęście. W krwawej bitwie pod Warną (1444 r.) zadają niewierni światu chrześcijańskiemu klęskę stokroć dotkliwszą w skutkach od klęsk pod Kossowem i Nikopolis. — Wszystkie kraje zabałkańskie, cały prawie południowy wschód Europy dostaje się

---

[1]) Autor zdaje się zapominać o królu Władysławie Warneńczyku, pogromcy wojsk Murada II. (przypisek tłom.)

w ręce tureckie. Niewierni panują tu i rządzą w Adryanopolu. Z potężnego ongi cesarstwa wschodniego pozostaje już tylko ostatni szczątek, stolica Konstantynopol z okręgiem. Wszystkie nadzieje i rachuby chrześcijan skupiają się odtąd na tej ostatniej placówce, jaką stał się Carogród. Zdawało się jakoby los jego rozstrzygnąć miał o losach świata.

Przez lat kilka zostawiono Carogród w spokoju, szanując go jakby jaką cenną relikwię minionej świetności. Zwycięstwo pod Warną zaspokoiło żądzę sławy sułtana Murada II. Nie był to zresztą człowiek o bardzo wielkiej ambicyi; władza sułtańska sprzykrzyła mu się szybko i po dwakroć składał koronę. Syn jego zato, Mohamed II, — który w r. 1451 wstąpił na tron ojcowski, — bardziej był wojowniczego i przedsiębiorczego ducha. Postanowił wprowadzić w czyn marzenia poprzedników: uczynić z Konstantynopola stolicę Ottomanów.

Zebrawszy ogromne wojska, podstąpił pod Carogród i zaczął oblężenie. Miasto broniło się bohatersko. Grecy dokazywali cudów waleczności. Duszą obrony stał się dzielny cesarz Konstantyn IX. Paleolog. Zdawało się wszystkim, że od strony lądu miasto jest nie do zdobycia. Słabiej daleko fortyfikowane było od strony morza i Złotego Rogu, lecz i tu mieli Grecy skuteczny środek obrony

w postaci olbrzymiej grobli, dzięki której okręty tureckie nie miały dostępu do twierdzy. Przemyślni Turcy potrafili jednak znaleść radę na wszystko. Zbudowali niebawem z desek most na pięć mil długi i utworzyli sobie tym sposobem stałą i łatwą komunikacyę pomiędzy Bosforem, gdzie stały ich galery, a Złotym Rogiem. Po moście tym przeciągali swe statki, aż do Złotego Rogu. Tym to sposobem mogli Turcy uderzyć na miasto z najsłabszej strony. Dnia 29 maja 1453 r. przypuścili Turcy szturm ostateczny do miasta. Konstantyn padł trupem, walcząc do ostatka. Niewierni wkroczyli zwycięsko w mury Carogrodu. Wielkie cesarstwo wschodnie, przeżywszy z górą lat tysiąc, przestało istnieć.

Klucz do Europy dostał się w ręce niewiernych. Droga do dalszych podbojów i zwycięstw stanęła przed nimi otworem. Wpływ moralny zwycięstwa przewyższał jeszcze o wielekroć polityczne jego znaczenie i następstwo. Niedość, że tryumf ten podwoił siły i ambicye Ottomanów — po upadku Konstantynopola, który uważano powszechnie za twierdzę niezdobytą, padł na ludy chrześcijańskie postrach i ogarnęło je przygnębienie, z czego Turcy mogli i potrafili skorzystać. Mohamed zrozumiał w lot położenie. Nie dając ludziom swoim czasu do wy-

tchnienia, ciągnie z nimi na Bałkany. Zgniata tu i miażdży pod przemożną siłą ostatnie iskry i podmuchy wolności w Bośnii i Serbii, które zaczynały właśnie swobodniej oddychać, i na długie wieki odbiera im wszelką nadzieję lepszej doli. Poczem zwraca swój oręż na Wschód, zdobywa Trebisondę, zagarnia niektóre z wysp Archipelagu, będące dotychczas w ręku Wenecyan lub Genueńczyków.

Od zarania wieków średnich, od czasów Attyli i Alaryka nie znalazła się Europa w podobnem niebezpieczeństwie. Nigdy też chyba książęta chrześcijańscy nie okazywali mniejszej przytomności umysłu oraz mniejszego poczucia swoich obowiązków. Słusznie zdawaćby się mogło, że jedynie naczelnicy Kościoła zrozumieli całą grozę położenia i stanęli na wysokości wypadków. Tak naprzykład na wieść o klęsce zwołano sejm rzeszy niemieckiej do Ratyzbony, aby radził nad środkami obrony przeciwko niewiernym. Sejm jednak się rozszedł, nic nie uradziwszy. Dnia 29 września tegoż roku zagajono nowy sejm w Frankfurcie. Sejm jednak nic nie uradził. Poprzestano na wyznaczeniu terminu przyszłego sejmu, mającego się odbyć w Wiener-Neustadt w lutym r. p. Nie pomogły nawoływania Jana Kapistrana, na obu tych sejmach obecnego, nie wskórał też nic

wysłannik Stolicy Apostolskiej, Eneasz Silwiusz Piccolomini, mimo wielkiej gorliwości, z jaką się do dzieła zabierał. Nie dziw, że nasz Święty, jako mąż czynu i rozumu, umiejący patrzeć w przyszłość, nie może pojąć i wytłomaczyć podobnego lekceważenia sprawy i boleje głęboko nad tak karygodnem postępowaniem. Gdy też różni panujący zapraszają go na misyę do krajów swoich: Anglii, Szkocyi, Burgundyi, Sabaudyi, Węgier i innych — dawa im zawsze jednaką odpowiedź, zachęcając gorącemi słowy do walki z niewiernymi i do odparcia tureckiego naporu.

Tak n. p. w odpowiedzi na zaproszenie króla angielskiego Henryka VI pisze Kapistran, że nie czas teraz z zaproszenia korzystać, choć w innej chwili uczyniłby to jak najchętniej, gdyż obowiązkiem jego pierwszym w obecnych okolicznościach jest nawoływanie chrześcijan do walki z niewiernymi. Pociesza dalej króla w różnych jego dolegliwościach i wzywa do cierpliwości — poczem przechodzi do danej mu przez króla obietnicy zbudowania kilku klasztorów dla obserwantów na ziemi angielskiej, a wreszcie takiemi słowy do monarchy przemawia: »Błagam cię, królu, nakłoń ucha swego i usłysz wołanie moje. Nadeszły oto czasy przełomu. Niewierny nastaje na wolność świętej wiary naszej i leje się ze wszech stron krew chrześ-

cijańska, a obawiam się, że lać się będzie jeszcze długie wieki, jeżeli nikt nie pospieszy na obronę wiary i chrześcijaństwa. Nieprzyjaciel zapewne nas pokona, jeżeli nie zdobędziemy się na szybkie działanie. Błagam tedy na Krew przenajświętszą Pana naszego Jezusa Chrystusa, zaklinam — udziel nam Swego potężnego poparcia. Połącz Swe siły z wojskami innych książąt, którzy przystąpili już do wspólnego dzieła, z których wielu przyrzekło, iż powiedzie osobiście zastępy do walki z niewiernymi[1]). Nie brak Waszej Królewskiej Mości wodzów, którzyby potrafili wywiązać się świetnie z zadania. Posiadasz zaś w szeregach swoich żołnierza znanego z odwagi i siły. Z takiem wojskiem i z Swemi wielkiemi bogactwy zdołałbyś, Najjaśniejszy Panie, przy pomocy Bożej, gdybyś tego zapragnął, — skruszyć sam jeden całą straszliwą potęgę sułtana Mahomeda. Zabierz się tedy potężny władzco całem sercem do dzieła, dając tem dowód Swej odwagi, pobożności, żarliwości w wierze i miłości Bożej. Wówczas to cały świat wielbić w Tobie będzie chrześcijańskiego monarchę, który nie waha się uczynić ofiary ze swego złota, ani nawet z własnego życia dla obrony wiary świętej«.

---

[1]) Nikt z książąt danej obietnicy nie dotrzymał.

List ten pisany był w Frankfurcie w czasie sejmu rzeszy przed zamknięciem obrad. Anglia nie pospieszyła jednakże z pomocą. Jak wielu innych tak i Anglicy zajęci byli podówczas własnemi sprawami i sporami, które pochłaniały ich umysł i siły[1]). Jedynym z książąt chrześcijańskich, który sprawę wziął bardziej od innych do serca był ks. Burgundzki, Filip Dobry. Pomimo iż nie brał udziału w obradach sejmowych wysyłał jednak tam swych przedstawicieli, dawał pieniądze, zbierał wojsko i robił różne przygotowania wojenne. Kapistran listownie winszuje mu tej gorliwości i wspaniałomyślności, z jaką się do dzieła zabiera, a która tak od ogólnego lenistwa odbija.

Z Frankfurtu również dnia 26 października pisze Kapistran do Ojca św. Opowiada w liście tym papieżowi o przybyciu na sejm, o energicznych staraniach i trudach, jakie zadawał sobie E. S. Piccolomini, aby obudzić w sejmujących wojennego ducha — o tem jak on sam Kapistran pomaga mu z całych sił w pracy, nawołując publicznie i namawiając osobiście do walki. Opowiada dalej nasz Święty, jak dziwne wynajdywali sejmujący przeszkody i wymówki, tak n. p. czemu Ojciec

[1]) Anglia wojowała podówczas z Francyą, a trapiły ją równocześnie rozterki, z których powoli miało dojść niebawem do wojny dwóch Róż.

święty wysłał im jako przedstawiciela swego zwykłego biskupa a nie kardynała. Kończy, opisując, jak zdecydowano się nareszcie do przyjęcia z rąk jego kopii bulli papieskiej, nawołującej do krucyaty. »Nie opowiadam Ci tego Ojcze św., abym się pragnął pochwalić, iż spełniłem ważne zadanie. Osoba moja nie wchodzi tu wcale w rachubę. Pragnąłbym jedynie złożyć Waszej Świątobliwości dowód mej niezłomnej wierności dla Stolicy Apostolskiej i przekonać ją, że nie wahałem się odłożyć na bok wszelkich innych względów, skoro chodziło, abym ja nędzny i słaby mógł służyć tak wielkiemu dziełu, jakiem jest dzieło pokonania nieprzyjaciół wiary naszej świętej. Zaprawdę mówię Ci, Ojcze święty, iż warto Wam o wszystkiem innem zapomnieć, a zwrócić się ze wszystkich sił przeciwko temu straszliwemu wrogowi, który zaprzysiągł sobie, iż zniesie samo imię chrześcijan z powierzchni ziemskiej. Pomimo więc, iż wielu bardzo ludziom zdawaćby się mogło, iż dużo uczyniono w naradach owego sejmu, — mojem zdaniem jednak nie zrobiono nic, albo prawie nic.«

Nie dziw, że wobec tego tak E. S. Piccolomini jak i nasz święty Kapistran dokładają starań, aby przynajmniej nowy sejm rzeszy powołany do Neustadt lepiej się udał niż poprzednie sprawy w Frank-

furcie i Ratyzbonie. Uczynili jednak poprzednio wszystko co było w ich mocy i doszli do przekonania, iż nic nie zdoła wyrwać książąt niemieckich z ich obojętności. Korespondencya dwóch tych ludzi z początku r. 1485 w czasie oznaczonym na zwołanie nowego sejmu świadczy nam dzisiaj najwymowniej, jak trzeźwo i bez złudzeń zapatrywali się na rzeczy i jak się podtrzymywali wzajemnie, aby nie stracić ducha i nadziei w tylu przeciwnościach.

E. Sylwiusz bawił podówczas już w Neustadt, Kapistran zaś przebywał w Wiedniu, sądząc, że w stolicy łatwiej mu będzie dojść do porozumienia z różnymi panującymi. E. Sylwiusz donosi, iż nie wiadomo kiedy przybędzie cesarz pomimo, iż on to sejm zwoływał. Nie spodziewa się przyjazdu cesarza w każdym razie przed połową Wielkiego Postu. Margrabia brandenburski, Albert, który najgorliwszym się ze wszystkich książąt okazywał, leży w Wrocławiu złożony chorobą. O przyjeździe władzcy Czech jeszcze najzupełniej głucho, z Włoch niema żadnej wiadomości. Sylwiusz obawia się, iż panuje najzupełniejsza obojętność pod względem walki z niewiernymi. Na to odpowiada Kapistran, że przybyli już do Wiednia Władysław, król węgierski, i Jerzy z Podiebradu, czeski, z pocztem towarzyszącego im

rycerstwa. Oczekują niebawem przybycia innych gości, niewiadomo jeszcze na kiedy. Jerzy z Podiebradu i jego stronnictwo nie ofiarowują swych usług jednak bez zastrzeżeń, owszem zastrzegają sobie pośrednictwo cesarza u Ojca świętego, aby skłonić Papieża do uznania biskupa Rokycany. Pod tym jedynie warunkiem wystąpią Czesi do boju z niewiernymi. Warunek taki rozbudza w Kapistranie uczucie gniewu: »Ty, — pisze, z Swym zdrowym rozsądkiem i poczuciem prawdy łacno osądzić możesz, czy pomoc taką okupiona ofiarą okaże się w skutkach szlachetną, rzetelną i pobożną i czy na nią rachować stanowczo można. Czy sądzisz, że nasza święta wiara katolicka pozwala na podobne targi? Nie potrafię znieść takiej obelgi spokojnie i cicho«.

W drugim liście wykazuje Sylwiusz, iż prawdopodobnie wszelkie ich starania i wysiłki spełzną na niczem. Wprawdzie może się stawić kilku książąt niemieckich, czeskich i węgierskich, kilku zapewne z dalekiej Francyi i Włoch. Potrzeba ich jednak wszystkich zachęcić do boju i wzbudzić w nich iskrę zapału i świętego ognia, albowiem są to ludzie prości i obojętni, którzy dbają jedynie o własne dobro i własną chwałę. Niechaj tedy Kapistran wypowie walkę próżności, skąpstwu i lenistwu, gdyż

to są trzej najwięksi wrogowie służby Bożej w ich sercach, oraz trzej najpotężniejsi sprzymierzeńcy niewiernych. Gdyby się chrześcijanie zdobyli na trochę energii, pokory i szczodrobliwości — zdołaliby niebawem zebrać cały zastęp zwycięski, przed którym uległby nietylko Turek, ale i wszyscy inni niewierni zostaliby pokonani. Nareszcie po długiem zwlekaniu zagajono obrady sejmowe. Już, już zdawało się, iż przyjdzie do kroków stanowczych. Słowa Kapistrana obudziły głos sumienia i obowiązku w sercach panujących i wielu z nich okazywało gotowość przystąpienia do wspólnej akcyi. Wtem nadchodzi nagle wiadomość o śmierci papieża Mikołaja V. Uznano to z wielką skwapliwością za powód wystarczający do przerwania obrad. Tak zakończył się sejm w Neustadt. Kwestya zaś obrony chrześcijaństwa i walki z niewiernymi pozostała nierozstrzygniętą. Następny sejm rzeszy naznaczono na dzień Wniebowstąpienia p. r.

Trudno było zaiste żywić dalej nadzieję, iż książęta chrześcijańscy połączą swe siły ku wspólnej obronie zagrożonej wiary. Węgrzy, którzy byli najbardziej zagrożeni pozbyli się też najwcześniej wszelkich złudzeń pod tym względem, zrozumieli bowiem, iż byłoby dla nich szaleństwem oczekiwać spokojnie co przyszły sejm za rok orzecze, skoro już trzy

zjazdy książąt chrześcijańskich nie przyniosły im nic dobrego i nie dały najmniejszej pomocy. Naród węgierski przekonał się, iż może liczyć jedynie na własne siły — nie tracił jednak nadziei i ufał, że zdoła obronić się od jarzma niewiernych i stanie się z czasem przedmurzem chrześcijaństwa. Tu oczy węgierskich mężów stanu i przywódców zwróciły się ku jedynemu człowiekowi, który niezwykłą mocą słowa swego zdolen jest uciszyć przeróżne waśnie w kraju i stworzyć mu jednolitą i waleczną armię ożywioną duchem służby Bożej i wielkością, oczekującego ją zwycięstwa. Tym człowiekiem opatrznościowym któż jest, jeśli nie nasz święty Jan Kapistran? Król Władysław, Hunyady, Jerzy — despota Retyi piszą do Kapistrana z zaproszeniem, Dyonizy, arcybiskup ostrzyhomski i wielu z panów węgierskich proszą go o pomoc. Nie mógł Kapistran być głuchym na tyle próśb. Zanim jednak podąży do Węgier, pisze nasz Święty do Papieża, malując mu opłakany stan, w jakim znajdują się kraje zajęte przez Turków i przypomina raz jeszcze straszne niebezpieczeństwo grożące całej Europie — w pierwszym zaś rzędzie krajom korony św. Szczepana. Zaklina Ojca św., aby użył swojej potęgi i wpływu i pobudził książąt chrześcijańskich do walki z niewiernymi. Kończy, uwiada-

miając papieża o wezwaniu, jakie do Węgier otrzymał i dodaje, że jeżeli Ojciec św. nie ma nic przeciwko temu i nie udzieli mu innych instrukcyi, to myśli stanąć w Budzie około Zielonych Świątek.

Kalikst VII pragnął uczynić wszystko, cokolwiek było w jego mocy dla obrony wiary i chrześcijaństwa. Po wybraniu na Papieża zaprzysiągł uroczyście, że dołoży wszelkich starań, nie cofnie się nawet w ostateczności od przelewu krwi własnej, aby tylko wyrwać Carogród z rąk niewiernych — powrócić wolność jeńcom chrześcijańskim i pokonać na zawsze przemoc turecką na wschodzie Europy. Zaraz też w pierwszych dniach swego pontyfikatu rozesłał Kalikst VII swych legatów do różnych europejskich dworów, aby nawoływali do krucyaty. Zaczął również budować flotę u ujścia Tybru, pragnąc tym sposobem prowadzić walkę na lądzie i morzu. Popełnił błąd jeden — wierzył i ufał rycerskiemu duchowi panujących — w czem czekał go gruby zawód.

Wiara ta przebija się w odpowiedzi Papieża na list Świętego. Pochwala jego zamiary — nakazuje nie czekać z ich spełnieniem — dodaje jednak, iż pokłada głęboką nadzieję w pomocy chrześcijańskich książąt. Odpowiedź papieska doszła już Kapistrana na Węgrzech, nie mógł

bowiem zwlekać z wyjazdem wobec ciągłych listów i posłańców, którzy naglili do pospiechu. Jadąc na Węgry wiedział nasz Święty, że czeka go tam wielka bardzo misya, którą ma przypłacić życiem. Wiedział o tem z objawienia, o którem opowiada nam sekretarz i towarzysz jego Jan z Tagliacozzo. Było to niedługo po sejmie frankfurckim w listopadzie z. r.

Święty bawił podówczas w Norymberdze. Wytężał wszystkie swe siły i myśli, aby poznać wolę Bożą i wiedzieć, w jaki sposób każe mu Najwyższy pracować dalej dla dobra wiary świętej. Nie pragnąłby niczego tak serdecznie jak módz złożyć własne swe życie w ofierze i obronie chrześcijaństwa.

Długo tak i późno w noc przestawał na kornej modlitwie. Zasnął dopiero po odmówieniu jutrzni. Wówczas to we śnie objawił mu Bóg, iż ofiara jego została przyjęta i że czeka go śmierć wprawdzie nie na polu bitwy i nie z ręki niewiernych, ale śmierć w pracy niezmiernie znojnej i ofiarnej. Gdy nazajutrz rano odprawiał Mszę św. usłyszał przy ołtarzu wyraźne głosy: do Węgier, do Węgier! Podczas kazania na placu przed kościołem OO. Franciszkanów usłyszał znowu nad sobą w powietrzu to samo wołanie: do Węgier!

Zanim opuścił Austryę, Święty nasz pożegnał się jeszcze z ojcami i braćmi

we Wiedniu w klasztorze św. Teobalda i Bernardyna, który sam założył. Zaraz po odśpiewaniu jutrzni zabrał głos i miał do nich naukę, zaczynającą się od słów św. Pawła (Heb. XII. 7): »Wytrwajcie w posłuszeństwie i karności«. Zaklinał ich tedy, aby byli zawsze wierni regule i powołaniu. Słońce już wzeszło, nim Święty przestał mówić.

Podobnie jak ongi św. Paweł, gdy żegnał wiernych w Milecie, tak i Kapistran żegnał OO. Franciszkanów na zawsze, wiedząc, iż więcej ich na tym świecie nie zobaczy. Dlatego też za przykładem św. Pawła nie skąpił im przestróg na pożegnanie. »Wiem dobrze, iż znajdą się po mej śmierci ludzie, którzy przyniosą wam nową naukę, nową regułę i różne nowe ceremonie — nie dajcie im wiary. Gdyby zstąpił z nieba Anioł Boży, mówił Święty — by was nauczać — niechaj będzie wyklęty«.

Po słowach tych pada Święty na kolana i całuje na pożegnanie stopy wszystkim obecnym — poczem opuszcza zgromadzenie. Sekretarz Świętego Tagliacozzo zachował niektóre szczegóły z jego pobytu na Węgrzech. Przyjmowano go tam tak uroczyście i z takim wylewem radości, iż przez pokorę zakonną nieraz Święty mylił szyki swych wielbicieli i zmieniał plan podróży, aby przybyć niepostrzeżenie do

danej miejscowości. Rzadko bardzo mu się to udawało; zwykle na spotkanie Kapistrana nie tylko występował cały kler miejscowy w szatach liturgicznych, ale wychodzili opaci, biskupi, a nawet kardynałowie chętnie udział brali w uroczystości. Wynoszono naprzeciw niemu relikwie Świętych — spotykały go procesye z Przenajświętszym Sakramentem — procesyom zaś towarzyszyły tłumy ludności z zapalonymi świecami i zielonemi gałązkami w ręku, przy pieniu hymnów kościelnych i radosnym odgłosie dzwonów. Zdawaćby się mogło, jakoby Pan Bóg nie dawał mu się ukrywać w pokorze i jakoby chciał właśnie, aby świat uczcił sługę jego. Panowie i książęta tłoczyli się wśród rzeszy ludu, chcąc usłyszeć słowa Świętego. Kapistran zmuszony był mówić zawsze pod gołem niebem, albowiem żaden kościół, ani budynek nie pomieściłby tylu słuchaczy przybyłych z bliska i z daleka. Tak jak parę lat temu w Niemczech i Polsce, tak i na Węgrzech uzdrowił nasz Święty wielu chorych i wiele kalek, gdyż łaska i moc Boża była w nim zawsze. Nie dziw tedy, iż potrafił wzbudzić w ludzie węgierskim taką wielką cześć, miłość i niczem nieograniczoną ufność ku sobie, że każdy gotów był na skinienie Kapistrana pójść w ogień i dokonać rzeczy niepodobnych za jego rozkazem.

Święty nie zawahał się również podjąć walki z nałogami i wadami narodowemi.

Nawoływał wszystkich do miłości Boga — rozpalał miłość ku Bogu w ich sercach i uczył jak mają żyć prawdziwie po chrześcijańsku. Uczył jak w walce, która ich czeka z niewiernymi, krzepić powinni męstwo i siły hartować, gdyż walczą pod hasłem Bożem i w Bożem imieniu — i Bogu samemu, jeżeli zajdzie tego potrzeba poniosą swe życie w ofierze. Tak nauczając przeszedł Kapistran całe Węgry, gromadząc wokoło siebie zastępy nietylko z samych katolików, ale zarówno z heretyków i schizmatyków złożone. Jedenaście tysięcy tych ostatnich porzuciło swe błędy na głos Świętego i powrócili na łono Kościoła Rzymskiego.

Działo się to wszystko, zanim jeszcze Kapistran z pomocą legata papieskiego kardynała Jana Carvajol zwołał do Budy z początku roku 1456 wielką naradę wojenną. Dziwna zaiste i niczem nie wytłomaczona zdawaćby się nam mogła ta zwłoka nowa wobec grożącego niebezpieczeństwa. Tłomaczy ją jednak smutna bardzo okoliczność t. j. niezgoda i zazdrość panująca wśród magnatów węgierskich i rządców różnych prowincyi królestwa. Dzięki temu niepodobna im było przystąpić do porządnej i jednolitej akcyi wojennej. Najgorszym też

przykładem świecił młodziutki król Władysław — charakter słaby, wycofał się osobiście z całej sprawy i wyjechał z kraju pod pozorem łowów. Wśród poddanych jego czeskich wszczęły się na nowo spory religijne z poduszczenia Podiebrada i Rokycany. To też pomimo narad wojennych w Györ i w Budzie nie przedsięwzięto dotąd żadnych stanowczych kroków. Jedynie tylko biskupi węgierscy popierali czynnie zabiegi Kapistrana i legata i walną im byli pomocą w pracy. Szczęściem jednakże naród węgierski, nie zwracając uwagi na spory i zazdrości swych panów, zrozumiał swój obowiązek i stanął na wysokości swego zadania. Nieopisany zapał zawładnął narodem i pokonał stawiane mu przeszkody. W grudniu 1455 roku zawezwał legat Kapistrana do stolicy.

Niebawem sejm węgierski uchwalił formowanie armii, urząd zaś naczelnego wodza powierzył Janowi Korwinowi Hunyademu. Wielki ten bohater chrześcijański spędził większą część życia swego w walce z Turkiem. Zaszczycony za położone w boju zasługi wielu godnościami, w czasie małoletności Władysława sprawował rządy w jego imieniu. Obecnie rządził Hunyady Siedmiogrodem i był jednym z pierwszych, którzy powitali Kapistrana po przybyciu na Węgry. Brał on udział we wszystkich poprzednich

naradach i przyrzekł był wystawić własnym sumptem 10-tysięczny oddział kawaleryi.

Zrażony niezgodą panów węgierskich i zniechęcony intrygami, jakie przeciwko niemu knuli, wycofał się Hunyady na czas pewien z życia politycznego. Mąż jednak i wódz tej co on miary nie mógł pozostać długo w bezczynności, skoro ojczyzna znalazła się w potrzebie. Przyjął więc trudne, a zaszczytne stanowisko naczelnego wodza i pospieszył pogodzić się ze wszystkimi swymi osobistymi wrogami w imię dobra wiary i ojczyzny.

Dnia 14 lutego 1456 wystąpił Kapistran z rozkazu legata papieskiego w sali obrad z krzyżem, przysłanym przez Ojca świętego na piersiach. Święty nasz miał odtąd znaczyć podobnym znakiem krzyża każdego, który przystąpi do krucyaty. Oto co w miesiąc później, dnia 28 marca pisze do Papieża: »Wielu bardzo z pomiędzy prałatów i baronów państwa otrzymało krzyż, jak również i liczne rzesze ludności. Z dniem każdym rozdajemy takich krzyżów więcej. Ja sam otrzymałem z rąk kardynała legata krzyż poświęcony przez Waszą Świątobliwość, a otrzymawszy go, będę go nosił na sobie aż do śmierci, choćbym miał stokroć razy przelać krew swoją w jego obronie«.

Przez kilka następnych miesięcy tak Hunyady jak i Kapistran gromadzili wojska chrześci-

jańskie. Łatwiej przychodziło to pierwszemu który jako wytrawny wódz i mąż stanu znał się na ludziach i na zaletach dobrego żołnierza. Kapistran dopomagał mu jednak gorliwie. Przebiegał różne kraje i zbierał w około siebie wszystkich ludzi dobrej woli, nie patrząc na ich wiek i uzdolnienie. Dawał każdemu znak krzyża na piersi — przepowiadając zwycięstwo chrześcijańskiego oręża. W krótkim bardzo przeciągu czasu pociągnął za sobą tłum wielotysięczny. Byli to przeważnie ludzie niezwykli wojennego rzemiosła i źle uzbrojeni, klerycy, studenci, rzemieślnicy i włościanie. Wielu z nich było członkami Trzeciego Zakonu św. Franciszka, stanowili słabą bardzo siłę wojenną w porównaniu z potężnymi zastępami wroga.

To też kardynał legat nie pokładał widocznie zbyt wielkiego w takiem wojsku zaufania, skoro radził Kapistranowi udać się raz jeszcze do Wiednia i prosić tam cesarza o skuteczniejszą pomoc. Działo się to z początkiem czerwca, gdy krzyżowcy Kapistranowi stanęli już prawie wszyscy pod bronią. Święty nasz wiedział już z doświadczenia lat poprzednich, i jak zwykle pomoc obca zawodzi, a obawiał się nie bez przyczyny, że skoro opuści raz ziemię węgierską, cała praca jego pójdzie na marne. Pełen był przytem nadziei i ufności, że Bóg zwycięży

niewiernych i tym kruchym orężem jego krzyżowców. Projekt legata nie w smak poszedł i Hunyademu, który pokładał nieograniczone zaufanie w rozumie i odwadze Bożego Męża. Odebrał był właśnie list od Ojca świętego. Papież zachęcał go i zaklinał, aby prowadził dalej rozpoczęte dzieło i pochwalał wszelkie jego zarządzenia i plany na przyszłość.

Nadchodziły równocześnie zastraszające wieści z obozu nieprzyjacielskiego. — Zgniótłszy pod przemocą swoją powstanie w świeżo zagarniętych krajach chrześcijańskich czynili Turcy właśnie przygotowania ku wkroczeniu do Węgier. Zajęci byli w tej chwili przygotowaniem i przewozem ciężkiej artyleryi. Świeżo powiększono siły tureckiego wojska. Nieprzyjaciel postępował w kierunku Białogrodu. Dowodził nim zwycięski sułtan Mohamed II we własnej osobie. — Nadchodziła chwila czynu i chwycenia za oręż dla chrześcijan. — Polem walki stać się miał dla nich Białogród. Nie zwlekając dłużej postanowiono zagrodzić drogę zastępom niewiernych i w imię Boże ich pokonać, by zażegnać raz na zawsze wiszące nad Europą niebezpieczeństwo.

Kapistran uchodził dotąd w oczach wielu ludzi za fanatyka i zapaleńca, co nie przeszkadzało im jednak otaczać go czcią i uwiel-

bieniem jako świętego. Niezwykły zmysł praktyczny, jaki teraz w potrzebie okazał, wywołał powszechne zdumienie. Prawda, że dziwny zaiste urok oraz cześć otaczające Świętego działają na jego żołnierzy, zapewniały ślepe ich posłuszeństwo i tak dopomagały mu niepomału do sprawowania dowództwa. Stworzyć jednak pokaźną siłę wojenną z tak różnorodnych elementów, utrzymywać ją w karbach dyscypliny żołnierskiej, obmyśliwać sposoby i środki zaprowiantowania owej armii oraz przewozu jej bądź to lądem, bądź Dunajem aż pod mury Białogrodu — praca to była nielada i wymagała nielada głowy. Bez wątpienia, że praca podobna wymagała głowy i zdolności urodzonego wodza.

Trudne to jednak zadanie wziął na swe barki i spełnił świątobliwy mnich franciszkański.

W dniu 2 lipca 1456 r. wszelkie trudności zostały już pokonane i krzyżowcy pod wodzą Świętego wkraczali w mury Białogrodu.

Rozdział VII.

Zwycięstwo Białogrodzkie.

Dzięki swemu położeniu geograficznemu u ujścia Sawy do Dunaju, Białogród panuje nad dorzeczem obu tych ogromnych rzek i posiada ważne strategiczne znaczenie. W XV w. znaczenie strategiczne Białogrodu było olbrzymie: stanowił on klucz całej pozycyi chrześcijan i był zarazem w oczach niewiernych kluczem do Węgier i przez Węgry do całej środkowej Europy. Białogród był zarazem nadzwyczaj silnie ufortyfikowany. Tym sposobem posiadanie Białogrodu stanowiło o losach wojny: w czyim ręku Białogród, u tego zwycięstwo. W ręku chrześcijan był on nieustannie groźbą dla niewiernych, byłoby zaś straszną i nieobliczalną w następstwach dla nas klęską, gdyby się dostał w ręce tureckie. Wiedział o tem zwycięski sułtan Mahomed II i po zdobyciu Konstantynopola, niczego tak gorąco nie pragnął jak Białogrodu. Liczył, że wówczas sta-

nęłaby przed nim otworem droga w głąb Europy, droga do Włoch. Niestety, królowie i książęta chrześcijańscy mniej byli od Mahomeda przewidujący i nie doceniali ważności chwili. Ocenił to jednak i zrozumiał doskonale Ojciec święty. Dnia 29 czerwca wydaje Papież bullę do całego katolickiego duchowieństwa, nakazuje, aby wzywano ludzi do pokuty, do naprawy życia i do modlitwy, albowiem grzechy ludzkie ściągnęły na świat wielkie nieszczęście.

Rozkazuje przytem księżom, odmawiać przy Mszy św. modlitwę o uproszenie zwycięstwa nad niewiernymi. Udziela odpustu tym, którzy do przepisów stosować się będą. Nakazuje wreszcie, aby odtąd co wieczór, na pół godziny przed nieszporami odzywały się wszystkie dzwony kościelne, dzwoniąc po trzykroć, jak na Anioł Pański, wzywając wiernych do modlitwy i przypominając im o grożącem niebezpieczeństwie. Nadchodziły bowiem tak straszne czasy, iż ucieczką i nadzieją jedyną stawał się Bóg. Tak n. p. pomimo świeżych sił przyprowadzonych przez św. Kapistrana, obrońcy Białogrodu bardzo byli nieliczni, broń zaś ich przestarzała — trudno im było tedy iść w zawody z zastępami oblegających, którzy posiadali na swe usługi znakomitą, jak na owe czasy, artyleryę. Gdyby nawet miasto odparło szturmy

nieprzyjacielskie, łatwo byłoby je ogłodzić. Krzyżowcy Kapistranowi weszli do Białogrodu w ostatniej już chwili, gdyż Turcy opasywali już miasto ze wszech stron. Galery tureckie ukazywały się już na wodach Dunaju u podnóża twierdzy. Udało się jednak Świętemu przedostać do miasta i doprowadzić w mury twierdzy całe swe wojsko, tak to, które szło lądem, jako i to, które przybyło Dunajem. Nazajutrz, t. j. dnia 3 lipca ukazały się pod miastem siły tureckie. Liczono przeszło sto tysięcy do dwukroć sto tysięcy niewiernych. Byli to ludzie zahartowani w wojennem rzemiośle, zaopatrzeni w przednią broń, we wszelkie przybory i maszyny oblężnicze. Nieprzyjaciel ukazał się wprawdzie na przeciwnym brzegu Sawy, lecz rozpoczął niebawem przygotowanie do przejścia rzeki i przeprawił swoją amunicyę i działa po moście pontonowym.

Nie widziano dotąd nigdy jeszcze w świecie chrześcijańskim tak licznej i doborowej artyleryi. Zdawało się, iż zliczyć nie podobna tyle dział. Po skończonem obliczeniu naliczono dwadzieścia dwa działa o niebywałej na one czasy długości 27 stóp każda, a przytem aż siedm olbrzymich taranów ciskających kamienie z taką siłą, iż upadały w środek miasta. Rozległe pola poza murami twierdzy i obozem tureckim zaroiły się od wielbłądów,

obładowanych żywnością i amunicyą. Nieprzyjaciel zakładał sobie kuźnie i warsztaty i gotował się do długiej walki, dzień i noc nie ustając w pracy. Zasoby wojenne Turków były tak wielkie, iż słusznie przypuszczano, że nie chodziło tu jedynie o zdobycie Białogrodu, ale o podbój całych Węgier. Mniemania te potwierdzili w zeznaniach swych jeńcy chrześcijańscy, którym się udało wymknąć z obozu tureckiego. Rozpowiadali jakoby sułtan poprzysiągł na proroka, iż stanie się w przeciągu miesiąca panem Węgier i ucztować będzie w stolicy Budzie. Tymczasem Mahomed rozłożył się obozem na wzgórzu za miastem i tam się okopał i oszańcował. Naokoło obozu sułtańskiego 5-tysiączna gwardya janczarów zatknęła swe chorągwie i ustawiła namioty.

Na Sawie i Dunaju ukazały się niebawem 64 galery tureckie, naładowane prochem i amunicyą. Kierowali niemi ludzie obeznani ze swoją służbą i wytrawni marynarze, pod rozkazami zaś ich pracowało jeszcze wielu rzemieślników. Nie dziw, że przy takiej sile i przezorności roboty ziemne nieprzyjaciela postępowały nadzwyczaj szybko i że w przeciągu kilku dni miasto otoczone zostało ze wszech stron już to wojskiem już to szańcami tak, że znikąd nie było do Białogrodu dostępu. Oblężeni nie mogli spodziewać się

żadnej pomocy ni odsieczy. Powiedzieć tu trzeba, że wielu z pomiędzy Kapistrana krzyżowców nie widziało jeszcze w życiu wojny i nie umieli się nawet z bronią obchodzić. Dodać wypada, że mieszkańcy Białogrodu, truchleli na myśl samą, że czeka ich los tylu pobratymców i, że w oczach tych ludzi Turcy uchodzili za niezwyciężonych. Łatwo nam przyjdzie tedy, przedstawić sobie, jaki postrach padł na miasto i z jakiem przerażeniem patrzano na mrowie nieprzyjaciela. Tymczasem Hunyady nie przybywał. Zdaje się tylko według świadectwa kronikarzy, iż poprzestał on na wysłaniu posiłków do zagrożonej twierdzy, dowództwo zaś zdał na Michała Sylagy, mianując go gubernatorem twierdzy. Sam Hunyady zniechęcił się oszczerstwy swych ziomków i odsunął od walki. Opowiada nam Tagliacozzo, iż popadł on był właśnie w niełaskę u króla dzięki owym fałszywym oskarżeniom i że miał głęboką urazę do magnatów węgierskich, iż nie wzięli go w obronę. Hunyady nie pokładał przytem wielkiego zaufania w krzyżowcach Kapistrana i obawiał się, że nie wytrzymają naporu niewiernych.

Świątobliwy mnich-dowódzca pewien był jednak, iż Bóg pobłogosławi orężowi chrześcijańskiemu i da mu zwycięstwo. Pomimo tej nieograniczonej ufności w pomoc Bożą

nie zaniedbał Kapistran niczego, coby mogło ludzkimi środki zapewnić upragnione zwycięstwo, wiedział bowiem nasz Święty, iż nie można kusić Opatrzności, ani zdawać się na nią bezczynnie. Czuł w Hunyadym bohatera, ubolewając nad jego uporem i zaciętością i zdawał sobie doskonale z tego sprawę, iż obecność takiego wodza dodałaby oblężonym ducha. Koniecznem przytem było mieć jak największą liczbę obrońców. Nie wahał się tedy długo, lecz póki możebnem jeszcze było wydostać się z oblężonego miasta, postanowił Kapistran udać się osobiście do Hunyadego, i nakłonić go do objęcia dowództwa. Dnia 4-go lipca, odprawiwszy poprzednio Mszę św. zabrał nasz Święty głos, nawołując krzyżowców do męstwa w boju, a jeśli tego zajdzie potrzeba, do poniesienia śmierci męczeńskiej za wiarę Chrystusową.

Zapowiadał im przytem, iż przywiedzie świeże zastępy krzyżowców, które wprawią nieprzyjaciela w zdumienie i z góry rozstrzygną o zwycięstwie. Do OO. Franciszkanów odezwał się w te słowa: »Słuchajcie spowiedzi, gódźcie zwaśnionych, pielęgnujcie chorych i rannych, chowajcie poległych, podnoście męstwo i siły w obrońcach. Ci jednak z was, którzy otrzymali święcenia kapłańskie, niechaj nie ważą się brać udziału w walce, ani nawet do walki tej pomagać, przygotowując do niej narzędzia, jako to kamienie,

łuki i broń wszelką. Jedyną bronią waszą w walce przeciwko nieprzyjacielowi wiary i krzyża niechaj będzie modlitwa, Najsłodsza Ofiara Mszy świętej, udzielanie Sakramentów, oraz uczynki miłosierne względem bliźnich waszych. Dla braci zakonnych nie ustanawiam praw żadnych, i żadnego rozkazu nie mam im do wydania; na jednej tedy poprzestanę radzie: Niechaj idą za głosem Bożym i pełnią to, czego Bóg od nich wymaga«.

Poczem w towarzystwie czterech zakonników i garstki krzyżowców opuszcza Kapistran Białogród i z niemałem niebezpieczeństwem przedostaje się do Petrowaraždynu. Namawia tutaj Hunyadego do objęcia naczelnego dowództwa, i do tworzenia nowych zaciągów. Rozsyłając naglące listy, powołuje pod broń wszystkich, co przyjęli krzyż. Kardynał-legat dosyła z Budy żywność i posiłki wojenne, oddano bowiem na jego rozkazy całą małą flotyllę na Dunaju, złożoną z przeszło 200 łodzi. Łodzie te ładują obecnie bronią, amunicyą i prowiantem. Gorące wezwanie Kapistrana znajduje odgłos w całym kraju. Bogaty i ubogi dąży zarówno pod sztandar Chrystusowy. W przeciągu dni 10 staje świeże wojsko gotowe do boju, które w połączeniu z załogą białogrodzką stanowić może poważną już siłę.

Przypatrzmy się tymczasem temu, co

dzieje się równocześnie w oblężonym Białogrodzie. Wszelkich szczegółów udzieli nam jak dotąd Tagliacozzo. Otóż nieprzyjaciel dokończył robót ziemnych, oszańcował się i zatoczył na szańce swe działa. Ustawił je w 3 baterye, grające bezustannie pod murami Białogrodu. Obsługiwali je przeważnie chrześcijanie renegaci: Włosi, Niemcy, Węgrzy, Serbowie i Bośniacy. Dodaje kronikarz, iż działa niewiernych tak świetnie były ustawione, że dziecko nawet potrafiłoby z nich celować.

Białogród był, jak wiemy, silną bardzo twierdzą. Miasto otoczone było podwójnym murem, wałem obronnym, poza którym jeszcze dwie nieprzebyte fosy broniły dostępu. Artylerya nieprzyjacielska wyrządziła w krótkim bardzo czasie straszne szkody. Zanim upłynęło dni 10, z zewnętrznych wałów okalających miasto pozostały się już tylko szczątki, a twierdza ucierpiała również znacznie. Największy popłoch wywoływały wśród mieszkańców celne pociski taranów t. j. kamienie, bale i deski, które padały w samem śródmieściu. Jeden z takich pocisków wpadł przez dach do kościoła, podczas gdy Tagliacozzo odprawiał Mszę św. Liczba ofiar była jednak stosunkowo niewielka. Więcej daleko ofiar zabierała morowa zaraza, która nagle wśród oblężonych wybuchła. Ludność cier-

piała przytem dotkliwie na brak żywności, odkąd wszelka komunikacya przerwana została przez nieprzyjaciela.

Dnia 14 lipca poczet krzyżowców z Kapistranem i Hunyadym na czele, puścił się Dunajcem na odsiecz oblężonym. Jeden tylko posiadając większy statek w swoim ręku, krzyżowcy odbyli całą przeprawę na prostych łodziach. Przybycie posiłków tak znacznych, nie uszło bacznego oka nieprzyjaciela. — Załoga chrześcijańska gotowała się również na ich przyjęcie. Rozumiano, iż stoczona będzie wielka bitwa na wodach Dunaju. Oblężeni posiadali czterdzieści statków z których żaden jednak nie odpowiadał wielkością galerom tureckim. Postanowiono trzymać je w pogotowiu. Galery tureckie stanęły tymczasowo na dogodnej pozycyi powyżej miasta, szykując się do ataku na chrześcijańską flotę. Stanęły tak zwartym szeregiem w poprzek Dunaju, iż stanowiły w ten sposób istotne tamy, o które rozbić się miały siły krzyżowców. Spodziewano się przytem, iż pewna ilość wojska tureckiego poprze ruch swej flotylli, to też Hunyady jak przystało na przezornego wodza, kazał wylądować części krzyżowców, aby stawić w polu czoło niewiernym. Święty Kapistran poszedł również za ich przykładem, towarzyszył mu zaś pewien węgierski

szlachcic imieniem Piotr, który niósł chorągiew wojenną. Wówczas to dopiero szczupła flotylla chrześcijańska, złożona z jednego wojennego statku i wielu drobnych łodzi, przypuściła atak na galery nieprzyjacielskie. Nieprzyjaciel powitał ją gęstym ogniem. Gdy tak wszczęła się bitwa, oblężeni postarali się swemi 40 stateczkami zabrać tyły galerom tureckim. Zawrzała tedy zawzięta walka, walka na śmierć i życie. Krzyżowcy bili się jak lwy. Skakali ze swych łodzi na pomosty galer tureckich, i tu przychodziło do krwawej ręcznej rozprawy. Walczono na miecze i na pistolety. Bój taki trwał godzin 5. Podczas gdy trwała na Dunaju walka, Kapistran towarzyszył jej z brzegu modlitwą, wzywając imienia Jezus na pomoc.

Oblężeni trwali również w modlitwie, nie mogąc w inny sposób przyjść w pomoc walczącym. Udało się wreszcie krzyżowcom przełamać linię okrętów tureckich. Otoczono je wówczas ze wszech stron i przypuszczono ostatni śmiertelny zaiste atak. Zwycięstwo chrześcijan było zupełnem. Wspaniała i liczna przed kilku godzinami zaledwie flotylla turecka przestała istnieć: niektóre galery poszły na dno, inne dostały się w niewolę, te wreszcie, które uszły zagłady, były już nie do użycia. W taki to sposób bohaterski utorowali sobie krzyżowcy drogę do Białogrodu.

Dzięki zwycięskiemu ich orężowi droga na Węgry Dunajem stanęła otworem, i mogły przybywać stąd oblężonym dalsze posiłki a przedewszystkiem mogła iść tędy dostawa żywności. Połączone siły chrześcijan dosięgły teraz liczby 60 tysięcy. Pokaźna to była na owe czasy armia. Składali ją ludzie różnej narodowości: Niemcy, Polacy, Słoweńcy i Bośniacy. Większość jednak stanowili Węgrzy. Według świadectwa Tagliacozza próżno szukałbyś w szeregach próżniaków, pijaków i ludzi złych obyczajów, nie usłyszałbyś zarówno obmowy lub kłótni, nie było kradzieży, lub gry lekkomyślnej. Wolny od obowiązków żołnierskich czas, spędzali krzyżowcy na modlitwie, nabożnie słuchali Mszy świętej i często przystępowali do Sakramentów św. Każdy oddział miał swego kapelana, wojsko zaś całe szło za głosem i przykładem świętego mnicha-dowódcy. Dziwny też zaiste panował w obozie duch ofiary.

Wszyscy oczekiwali w spokoju, co los im zgotuje, z cierpliwością znosząc trudy i niedostatki. Jedno słowo z ust św. Kapistrana zdolne było natchnąć tych ludzi niebywałym zapałem, i przemienić ich w niezwyciężonych w boju mężów.

Po poniesionej klęsce Turcy nie zaniechali jednak dalszego bombardowania miasta, owszem przez tydzień cały zasypywali Białogród gradem kul i kartaczy.

Po kilkakroć próbowali chrześcijanie wycieczek z murów twierdzy. Bliskość obozu nieprzyjacielskiego, ułatwiała podobne przedsięwzięcia. Krzyżowcy dokazywali wówczas cudów waleczności i siali drogę trupami niewiernych. Niestety kończyło się zwykle na tem, iż uledz musieli licznej przewadze nieprzyjaciela, śmiałość i waleczność przypłacając życiem. Nieprzyjaciel nie bez powodu podsuwał się pod mury twierdzy, narażając się na porażki i straty. Chodziło mu o to, aby pod osłoną dział i wojska, tem łatwiej i śmielej prowadzić przygotowania do ostatecznego szturmu miasta. Łudzono się w obozie tureckim, iż miasto szturmu nie wytrzyma. Przystąpiono już nawet w cichości do zasypywania ziemią otaczającej miasto fosy.

W ciężkich tych chwilach Jan Kapistran nie tracił jednak ducha. Był on wprost niestrudzonym. Wszędzie go było pełno: nie schodził nigdy ze swego posterunku. Wątpiącym dodawał otuchy, opatrywał chorych i rannych, budził męstwo w żołnierzu, utrzymywał i ożywiał w oblężonych nadzieję w zwycięstwo i wiarę w Opatrzność. Zaledwie jadał i sypiał.

Ten starzec 70-letni zawstydziłby niejednego młodzieńca hartem i wytrzymałością, z jakiemi znosił trudy obozowe. Tak był niezmordowanie czynnym, iż nie znalazłoby się w obo-

zie chrześcijańskim nikogo, ktoby potrafił mu wyrównać w pracy.

Ktokolwiek bowiem zechciał mu dopomódz lub tylko towarzyszyć, upadał wkrótce ze znużenia.

Zamęczył w przeciągu dni kilku na śmierć silnego rumaka, ofiarowanego sobie przez Hunyadego. Im jednak cięższe nadchodziły chwile, tem zdawał się nasz Kapistran rosnąć na siłach. Co rano odprawiał Mszę św., po Mszy przemawiał do ludzi, wzywając do modlitwy i wytrwałości, podtrzymując nadzieję i otuchę. Tymczasem Hunyady i Michał Sylagy starali się przeciągnąć walkę i stawić opór jak najdłużej. Pod okiem wodzów pracowano też nieustannie około wałów, naprawiając wyrządzone przez kule nieprzyjacielskie szkody. Dnia 20 lipca stało się już rzeczą dla każdego oczywistą, iż przyjść musi niebawem do ostatecznej rozprawy z wrogiem, i że nadeszła chwila krytyczna. W ciągu ostatnich dni kilku wały i mury zewnątrz Białogrodu rozpadły się w gruzy. Klęska płynęła stąd podwójna, gdyż dostęp dla nieprzyjaciela stawał się podwójnie łatwy; po pierwsze, wał zewnętrzny przestał już istnieć, po drugie zaś padając zasypywał gruzem i odłamkami muru leżącą poza nim fosę, torując w ten sposób nieprzyjacielowi drogę do miasta. Kule tureckie zrobiły już przy-

tem niejeden wyłom w wale wewnętrznym twierdzy, tak, że oblężeni nie mogli wydołać z ciągłą naprawą. Najwyższa baszta zarysowała się już od góry do dołu, grożąc lada chwila upadkiem i rozsypaniem.

Patrząc na tak zupełne dzieło zniszczenia, bohaterski Hunyady stracił wszelką nadzieję. Nie wystawiał sobie, by świeżo zaciągnięty żołnierz potrafił spotykać się z nieprzyjacielem oko w oko. Tejże więc nocy lipcowej w takie przemówił do Świętego słowa: »Jesteśmy już pokonani i zdani na łaskę i niełaskę Turka. Zdarzyło mi się nieraz odnosić nad niewiernymi zwycięstwo, nie dzięki liczebnej przewadze mego wojska, lecz dzięki jedynie wytrwałości i wytrzymałości w boju, oraz znajomości sztuki wojennej. Znam nie od dzisiaj nieprzyjaciela, z którym walczę, i żadne fortele jego nie są mi obce. Dzisiaj oświadczam jednak, iż wszelkie wysiłki nasze pójdą na marne. Wyczerpane są wszelkie środki obrony, atakować zaś nie mogę. Uczyniłem wszystko co tylko było w mej mocy, i nic już nadto uczynić nie zdołam. Nie jestem nawet w stanie naprawić wyrządzonych nam przez kule wrogów szkód; wały i baszty leżą w gruzach, droga do twierdzy stanęła nieprzyjacielowi otworem. Naszych ludzi pozostała już zaledwie garstka, cóż to jest wobec zastępów niewiernych? Ludzie nasi są przy-

tem źle uzbrojeni, nie wyćwiczeni, osłabieni i nie dosyć śmieli. Nikt z panów węgierskich nie przybył nam z pomocą. Cóż możemy więcej uczynić?«

Słowa te były głosem rozpaczy w ustach tak zacnego człowieka i nieposzlakowanego rycerza. Gotów był Hunyady walczyć do upadłego, lecz nie chciał siebie i innych łudzić nadzieją, której nie podzielał. Nic jednak nie zdołało zachwiać nieograniczonej ufności, jaką św. Kapistran pokładał w pomocy Bożej. »Nie obawiaj się i nie frasuj, odrzekł Hunyademu. Nie ma dla Pana Boga rzeczy niepodobnych. Jeżeli tylko Bóg dozwoli, słaba garstka naszych, pokona i w proch zetrze całą potęgę turecką, ocali od zguby miasto i wystawi nieprzyjaciela na hańbę i sromotę«. Słowa te nie trafiły jednak odrazu Hunyademu do przekonania. »Jutro Białogród nie będzie już w naszem ręku«, rzecze ponuro Hunyady. Na to odpowiada mu Święty: »Mówię ci, nie frasuj się i nie trwóż. Właśnie że w naszem ręku pozostanie! Czyż nie walczymy w imieniu Bożem i w świętej Jego sprawie? Wszak bronimy krzyża Chrystusowego i chrześcijaństwa! Ufam najmocniej miłosierdziu Bożemu, iż nas w tej walce nie opuści«.

Zrozumiał jednak nasz Święty, iż więcej niż dotąd cała odpowiedzialność i praca

na jego spada barki, to też zabrał się niezwłocznie do dzieła. Wybrał z pomiędzy oblężonych 4000 co najlepszego i najwaleczniejszego żołnierza i rozkazał się trzymać na pogotowiu do odparcia szturmu, jakiby nieprzyjaciel mógł przypuścić. Odesłał chorych i rannych na tyły armii i umieścił ich w najodleglejszej i najbezpieczniejszej dzielnicy miasta. Niewiastom udzielono przytułku w samejże twierdzy, gdzie ma się rozumieć, było im również najbezpieczniej. Nie wszystkie jednak pospieszyły skorzystać z tego przywileju bezpieczeństwa. Wiele dzielnych kobiet ofiarowało się uczestniczyć w obronie miasta i nieść pomoc walczącym. Ofiara ich została przyjęta, i przyznać trzeba, pięknie i mężnie wywiązały się ze swego zadania.

Gdy nadszedł wieczór dnia 21 lipca zauważono powszechnie, że obóz turecki pogrążony jest w modlitwie. Niebawem jednak potężny odgłos trąb, oraz rozlegające się zewsząd okrzyki wojenne wroga, zwiastowały oblężonym, iż nieprzyjaciel gotuje się do szturmu. Krzyżowcy stojący w zwartym szeregu i broniąc wałów zewnętrznych, tworzyli ze swych piersi i pancerzy, jak gdyby nowy nieprzebyty mur, o który rozbić się miał oręż turecki. Na każdych ustach są słowa modlitwy, hasłem zaś i okrzykiem bojowym chrześcijan stało się Imię Jezus.

Na taki widok nieprzyjaciel przyspiesza kroku i wydając ponowny okrzyk wojenny rzuca się z całym impetem na zastęp obrońców. Wielu żołnierzy tureckich niesie ze sobą wiązki słomy i faszyny ścieląc sobie w ten sposób drogę do zdobycia twierdzy, ułatwiając dostanie się do jej wnętrza. W mgnieniu oka zaroiło się i zakotłowało jakoby w mrowisku. Nieprzyjaciel zdołał się wdrapać na gruzy wałów, i przyszło do walki na murze. Dalsze szeregi tureckie rażą naszych gęstym ogniem. Świst hyżych strzał wypuszczanych z łuków z niesłychaną szybkością przecina powietrze.

Chrześcijanie dzięki swemu obronnemu położeniu, wytrzymują jednak pierwszy napad i rozpęd wroga. Witają go gradem kamieni, których im nie brak pod ręką. Szeregi tureckie łamią się; powitanie takie odstrasza nieprzyjaciela, poważne wyrządzając mu szkody. Padają setki niewiernych, z trupów ich tworzy się wkrótce wokoło nowy wał obronny. Coraz to nowe siły nieprzyjacielskie ruszają do szturmu. Otucha wstępuje jednak do serca krzyżowców, walczą zapamiętale, jak nie walczyli jeszcze nigdy. Hasłem ich jest zawsze Najświętsze Imię Jezus. Padło ono z ust Kapistrana, stojącego opodal, który zagrzewał do boju i modlił się o zwycięstwo, jako drugi Mojżesz wśród ludu swego. Krzyżowcy stoją nadal jakoby

mur niezdobyty — każdy wyłom w tym murze żywym przez śmierć lub rany obrońcy czemprędzej bywa zapełniany nowym żołnierzem. Straszliwa walka przeciąga się aż do zachodu słońca. W godzinę po zachodzie Turcy atakują coraz to słabiej, znać po nich znużenie i zniechęcenie. Na widok tylu i tak ciężkich strat owładnęła nimi zgroza. O północy jednak przypuszczają nowy atak. Uzbroili się tym razem w drabiny. po których łatwiej im przyjdzie dostać się do obozu chrześcijańskiego. Po tamtej porażce ogarnęła ich prawdziwa wściekłość, — nie dość im teraz nienawidzieć chrześcijan, pragną nasycić się zemstą. Walczą zaciekle, nie ważąc swego życia. Chrześcijanie nie liczą się z niem również. Co za szczęście módz złożyć swe życie Bogu w ofierze! Zawrzała walka stokroć jeszcze straszliwsza i krwawsza niż za dnia, jeśli można było zapamiętalej się bić. Nawet kobiety wzięły w niej udział po stronie chrześcijan, podając kamienie i napinając łuki, wynosząc i opatrując rannych. Po bohaterskiej zaiste obronie krzyżowcy musieli jednakże ustąpić przed przemagającą siłą turecką. Nieprzyjaciel pozostał panem placu i pierwsze linie szańców w jego dostały się ręce. Krzyżowcy ustępowali jednak ze stanowiska w najwyższym ładzie i wzorowym porządku. Całodzienna

walka pochłonęła niemało ofiar, lecz nikt się na to nie oglądał, owszem gotów był każdy do ofiar nowych. Ci co pozostali przy życiu i zdrowiu, szli teraz powiększyć szeregi dotychczasowej rezerwy, której zadaniem było bronić drugiej, wewnętrznej linii szańców. Głęboka fosa utrudniała tak tutaj jak i tam dostępu nieprzyjacielowi.

Niedługo oczekiwano na pojawienie się Turków. Zabrali się tu znowu po swojemu do roboty, znosząc stosy słomy, cierni, oraz wszystkiego, cokolwiek znalazło się pod ręką, a nie było zbyt ciężkiem do dźwigania. Niezwykły ten upór i zaciekłość miały wnet ponieść zasłużoną karę. Ponad ową nieszczęsną fosą zwieszał się jeden jedyny most, prowadzący do twierdzy. Nie dziw, że most ów stał się niebawem kluczem położenia i terenem najzaciętszej walki. Walczono również i pod mostem na dnie samejże fosy. Nieprzyjaciel usiłował wedrzeć się stąd na okopy i na wpół rozwalone mury, a krzyżowcy musieli odpierać go na brzeg przeciwny.

Ze wschodem słońca nowa myśl błysła w głowie krzyżowcom. Użyto tym razem do roboty żołnierzy stojących w odwodzie. Mieli oni coprędzej zebrać i powiązać jak największą ilość suchych badyli, burzanów i cierni. Wszystko to zanurzano w siarce, i zapalając podawano do rąk tym, co stali w pierwszem

szeregu. Ci gorejące pochodnie ciskali na nieprzyjaciela. W mgnieniu oka stosy słomy i faszyn naniesione przez Turków stanęły w ogniu. Pożar szerzył się z niesłychaną szybkością i objął niezadługo całą fosę, a tem samem całą długość linii bojowej.

Straszliwy to był widok, według słów naocznego świadka Tagliacozzo.

Z walczących pod okopami żołnierzy tureckich nie uszła prawie żywa noga: wszyscy znaleźli śmierć w płomieniach lub podusili się od zabójczych wyziewów siarki. Widząc to, ci co byli dalej, poszli w rozsypkę. Uciekali co tchu wołając: »Bóg chrześcijan nas zwyciężył, a stanął w ich obronie, uciekajmy, uciekajmy!« Tenże naoczny świadek, który nam to opowiada, spieszy dodać, iż straszliwy ów pożar porównać jedynie wypada z ogniem niebieskiem, tak okropne wyrządził spustoszenie. Działo się to w sam dzień św. Maryi Magdaleny, tj. 22 lipca. Radość i otucha wstąpiła w serca krzyżowców. Pospieszyli złożyć dzięki Bogu za otrzymane zwycięstwo. Niebywała dotąd cisza zaległa w obozie tureckim. Przestrach i zniechęcenie opanowało niewiernych. Stosy na wpół zwęglonych trupów, zaścielały pole bitwy i napełniały fosy.

Wojsko chrześcijańskie nie wielkie poniosło straty.

Podczas ostatniego szturmu padło zaledwie 50 zabitych, lecz większą daleko była liczba rannych. Dziwowali się temu sami krzyżowcy, przypisując to widomej łasce Bożej, albowiem pole walki gęsto zasłane było strzałami i odłamkami włóczni nieprzyjacielskich. Wysłano tedy kobiety i dzieci, które jakoby w czas żniwa, zbierały ten krwawy plon, zgarniając wszystko i składając w kopce. Drugie to już było z rzędu zwycięstwo, odniesione nad przemożnemi siłami wroga. W tymże jeszcze na wieki pamiętnym dniu 22 lipca mieli chrześcijanie zadać niewiernym trzecią jeszcze, ostateczną już klęskę.

Zwycięstwo, w które przestał już wierzyć, niezmiernie uradowało Hunyadego. Obawiał się jednak nie bez słuszności, iż krzyżowcy, za nic będą sobie teraz ważyć potęgę turecką i że narazić się mogą na straszliwy odwet ze strony niewiernych, a tem samem stracić wszelki pożytek ze świeżo odniesionego zwycięstwa. Dla tego też pospieszył z wydaniem zakazu, aby żaden z krzyżowców nie śmiał wydalać się poza obręb twierdzy. Pomimo dzisiejszego zwycięstwa Hunyady nie zawierzał jeszcze zbytnio w swoje siły i nie odważyłby się na żaden krok zaczepny względem przewyższającego go zawsze liczbą nieprzyjaciela. Poprzestał więc tedy na wydaniu odpowiednich rozkazów

i na przygotowaniach do odparcia ostatecznego szturmu. Wywołało to niezadowolenie w chrześcijańskim obozie. Krzyżowcy pozbyli się dawnego lęku, spoglądając na Turków z uczuciem pogardy. Wielu postanowiło spróbować szczęścia na własną rękę. Z okrzykiem i hasłem Jezus na ustach, szli na ochotnika harcownicy, wyzywali nieprzyjaciela do walki, wpadając w jego szeregi. Niektórzy zabawiali się również puszczaniem strzałów z łuku, chcąc w ten sposób, wywabić Turków. Nieprzyjaciel zdawał się jednak głuchym i niemym.

Działo się to wszystko w oczach Kapistrana, co widząc Święty nasz zrozumiał, iż nie należy tak szlachetnego zapału dłużej powstrzymywać, należy nim zaś umiejętnie pokierować i nie dać mu ostygnąć. Przykład Świętego pociągnął wielu innych, tak, iż w krótkim czasie przeszło dwa tysiące wojowników wyległo na błonia, rozścielające się pomiędzy murami twierdzy a linią nieprzyjacielską. Taki niespodziewany atak ze strony chrześcijan wprawił niewiernych w zdumienie i nie mało też napędził strachu. Nieprzyjaciel zaczyna pierzchać nie stawiwszy nawet czoła atakującym. W bezładnej ucieczce pozostawia baterye w ręku krzyżowców, którzy spieszą zagwoździć owe działa, co tyle wyrządziły im szkody. Powo-

dzenie dodaje odwagi. Wkrótce zamiast dwa tysiące ochotnika, staje przeszło 4 tysiące chrześcijan do walki.

Nieprzyjaciel jednak ochłonął niebawem z przerażenia i szykuje się do odwetu. Postrach padł tym razem w szeregi ochotników. Wielu zaczyna nawoływać towarzyszy do odwrotu wołając, iż Turcy są jakoby lwi gotujący się do skoku i że pożrą niechybnie szczupłe siły chrześcijan w swoich okrutnych paszczach. Wołania takie dochodzą do uszu świętego mnichadowódcy. »Kto tylko się boi niech ucieka«, odpowiada Kapistran. »Oto nadchodzi chwila, której oczekiwałem od lat czterdziestu«. Stanąwszy na wzniesieniu, skąd każdy go mógł oglądać, Święty w gorących słowach zagrzewa wojsko do boju: »Nadeszła godzina zwycięstwa. Sam Pan Bóg wydał niewiernych w nasze ręce«. Chorążemu Piotrowi każe rozwinąć sztandar Chrystusowy, by pod tym świętym znakiem powieść krzyżowców do walki z wrogiem wiary i krzyża. Wydając rozkazy i ogarniając całe wojsko ze swego stanowiska, Święty nasz najmniejszej na to nie zwraca uwagi, iż kule i strzały nieprzyjacielskie poczynają gęsto padać wokoło jego głowy.

Zawrzała walka straszliwa, walka na śmierć i życie. Łamią się wkrótce szyki tu-

reckie, nieprzyjaciel zostaje odparty. Bitwa zamienia się w rzeź Turcy stracili najzupełniej głowy oraz zwykłe swe męstwo. Samo już hasło bojowe krzyżowców, Święte Imię Jezus napełnia ich zabobonnym strachem. Ostatnim już wysiłkiem formują oddział kawaleryi i ruszają do ataku, chcąc przeważyć szalę zwycięstwa. Wśród straszliwego zgiełku i okrzyków pędzi kawalerya turecka wprost na Kapistrana. Nie dopędzili jeszcze, gdy już poczynają mieszać się szeregi, — oto znowu święte hasło »Jezus« poraziło ich jakoby gromem, — zawracają tedy z miejsca i rozpierzchują się w nieładzie. Oto teraz krzyżowcy idą do ataku. Zdawałoby się, że jakaś nadludzka siła wstąpiła w ich ramiona, pędzą przed sobą niewiernych jak trzody; rąbią na wsze strony, zaścielając pole setkami trupów i rannych. Nieprzyjaciel cofa się i ustępuje pod naporem. Cały obóz turecki wpada w ręce krzyżowców. Chwila jeszcze i niedobitki wojsk muzułmańskich przeprawiają się w największym nieładzie na brzeg przeciwny Sawy. Nie uniknęli jednak tem zagłady w chwili ogólnego zamieszania. Krzyżowcy przypomnieli sobie o zdobytych działach tureckich i skierowali je w natłok uchodzących.

Niesłychany zapał i animusz wojenny ogarnął chrześcijan. Puszczają się w po-

ścig za wrogiem aż na drugi brzeg Sawy, nie napotykając zresztą już najmniejszego oporu. Michał Sylagy podjeżdża ku świętemu Kapistranowi. Oblicze jego wyraża najwyższą radość i zadowolenie. Na zapytanie Świętego, czy zwycięstwo jest zupełne i ostateczne, odpowiada z dumą, iż nie było jeszcze w dziejach węgierskich tak znakomitego zwycięstwa. Na to pospiesza nasz Święty z wydaniem rozkazu, aby zaprzestano dalszego pościgu i niepotrzebnego już krwi rozlewu. Marzył on całe życie o pobiciu i wypędzeniu nieprzyjaciół krzyża — nie chce i nie może jednakże dopuścić do mordowania bezbronnych.

Nazajutrz Święty w gronie dowódzców zwiedził pole bitwy i już opuszczony obóz turecki. Oglądano baterye nieprzyjacielskie, które przez trzy tygodnie tak znaczne wyrządzały szkody miastu. Największą uwagę zwracały owe 24 działa olbrzymich rozmiarów, jak się zdaje, były to rzeczywiście największe działa jakie do owych czasów sporządzono[1]). Nieprzyjaciel porzucił mnóstwo wozów, naładowanych żelaztwem i drzewem. Z opuszczonych kościołów podmiejskich urządzili sobie Turcy arsenał. Znaleziono tam

---

[1]) Podanie niesie, jakoby odlano tych 24 dział z dawnych dzwonów chrześcijańskich w Carogrodzie.

nieprzebrane skarby amunicyi, prochu, łuków, strzał oraz wielką ilość sznurów. W ręku chrześcijan zostało kilka buńczuków tureckich, mnóstwo broni wszelkiego rodzaju, tarczy, pistoletów, oraz wszystkie łodzie i statki, jakie miał nieprzyjaciel na Sawie i Dunaju. Łupem wojennym krzyżowców stały się całe trzody wołów, wielbłądów, bawołów i owiec, wiele przedmiotów zbytku, szat i odzieży tureckiej. Nie brakowało nawet żarna do mielenia zboża. Bogate łupy zwycięzców świadczyły najlepiej o tem, z jakim pospiechem opuszczali swój obóz zwyciężeni. Pole bitwy zasłane było gęsto trupem, rannych zaś przewożono czemprędzej do miasta, by udzielić im pomocy.

Nie zwlekając ani chwili w sam dzień zwycięstwa szle Kapistran dobrą nowinę Ojcu św. do Rzymu »Chwała i dziękczynienie niechaj będą Najwyższemu, iż nie dopuścił, abyśmy padli ofiarą wroga. Byliśmy bowiem tak zewsząd osaczeni i przyparci do muru, i w takich strasznych opałach, iż wszystkich już prawie ogarnęło zwątpienie, czy potrafimy nadal stawić czoło potędze tureckiej. Sam nawet Hunyady, gubernator twierdzy, niczem nieustraszony dotąd bohater i rycerz Chrystusowy, którego imię siało dotychczas postrach w szeregach tureckich, on nawet uległ ogólnemu zwątpieniu i sądził, iż należy nam

opuścić mury Białogrodu. Muzułmanin przypuszczał szturm po szturmie, nie dając nam chwili wytchnienia, wyrządzając dotkliwe straty swoją ciężką artyleryą, burząc wały i okopy i walcząc tak zajadle, iż żołnierze nasi zaczynali tracić nadzieję i siły, drudzy zaś tracili zimną krew i męstwo. Jednakże wśród najsroższych klęsk spodobało się Panu okazać nam swoje miłosierdzie. Nieprzyjaciel został właśnie odparty, nie cofnął się jednak daleko, ale przyczaił tylko, aby wprowadzić naszych w zasadzkę. Naczelny wódz Hunyady wydał wprawdzie rozkaz, surowo zabraniający komukolwiek wydalać się poza obręb murów fortecznych. Rozkaz ten jednakże nie znalazł posłuchu w szeregach krzyżowców, pałających żądzą zwycięstwa.

Nie czekając hasła i nie zważając na grożące niebezpieczeństwo, rzucili się na nieprzyjaciela. Wówczas to ja, pokorny Twój Ojcze św. sługa, czując, iż nie powstrzymam ich w zapale, stanąłem na czele tej garstki walczących. Obeszłem tedy szeregi, zachęcając jednych do walki, a odsyłając drugich na tyły, poczem sformowałem nasz hufiec i ruszyliśmy naprzód. Postarałem się zająć taką pozycyę, na którejby nas nieprzyjaciel nie mógł otoczyć. Wreszcie Pan, w którego ręku jest zwycięstwo i który nie patrzy na liczbę walczących, w nieprzebranem swem

miłosierdziu sprawił, iż pokonaliśmy dzicz turecką i zmusiliśmy nieprzyjaciela do ucieczki. Wszystkie działa i przybory wojenne jakie zgotowali sobie niewierni na podbój całego chrześcijaństwa pozostały w naszem ręku. Raduj się tedy i wesel w Panu, Ojcze święty, i rozkaż, aby po całym świecie wznoszono modły dziękczynne do Pana i wielbiono Imię Jego święte, albowiem spodobało się Bogu dokazać wielkich cudów nad nami. Ani ja, Twój słaby i nieudolny sługa, ani też ta nieliczna garstka wiernych Twoich, nie spełniliśmy tak wielkiego i trudnego dzieła, bez wyraźnej pomocy Bożej. Zwycięstwo nasze, jest całkowicie dziełem Bożem, to też niechaj Mu będzie za nie po wiek wieków chwała i dziękczynienie. Opisuję Ci to wszystko dzisiaj, Ojcze święty, pokrótce, piszę w wielkim pospiechu, zaledwie bowiem wróciłem z pola bitwy, i bardzo jestem znużony. Za dni kilka jaśniej się będę mógł wytłumaczyć oraz podać Ci, Ojcze święty, wszelkie szczegóły o wszystkiem, co zaszło. — Wysłano z Białogrodu w dzień Maryi Magdaleny, tj. w sam dzień wiekopomnego zwycięstwa nad niewiernymi«.

Dnia 17 sierpnia pisze ponownie nasz Święty do Papieża, udzielając mu tym razem wszelkich szczegółów. Radzi, aby sko-

rzystać ze zwycięstwa i nie tracąc czasu, przygotować walną wyprawę na Turka. Jeżeli chrześcijanie uderzą natychmiast, zanim nieprzyjaciel odzyska siły, to kto wie, czy nie uda się wyrzucić go poza granicę Europy. Rady te trafiały najzupełniej do przekonania Papieżowi, jak to widać zresztą z odpowiedzi jego na listy Kapistrana. W gorących słowach podnosi Ojciec św. zasługi Świętego, wyrażając mu najżywszą wdzięczność. Prosi zarazem, by wytrwał na tak zaszczytnym posterunku, dopóki nie zmusi niewiernych do opuszczenia Europy. List Papieża do Karola VII, króla Francyi, w tymże również pisany jest duchu. Zdaniem jego po cudownem zaiste zwycięstwie Białogrodzkiem Pan Bóg pobłogosławi dalej orężowi chrześcijańskiemu, nie ma zatem dla oręża chrześcijańskiego rzeczy niepodobnych.

Radosna wieść obiegła tymczasem lotem błyskawicy całą Europę. Każdy odetchnął swobodniej, pozbywając się strachu, który przez lat kilka go przygniatał. Na wieczne czasy nakazał Ojciec św., ażeby odtąd w całym chrześcijaństwie obchodzono uroczystość Przemienienia Pańskiego[1]) w dniu 6 sierpnia

---

[1]) Święto to obchodzono dawniej w każdym kraju kiedyindziej, zwykle jednakowoż wypadało ono około drugiej Niedzieli Wielkiego Postu.

jako w dniu, w którym wieść o zwycięstwie chrześcijan doszła do Rzymu. Imię Kapistrana i Hunyadego było na wszystkich ustach, jako zbawców Europy. Czyż nie wytrwali obaj na posterunku, opuszczonym już przez wszystkich, z góry jakoby skazanym na zagładę? Czyż nie walczyli i nie odnieśli zwycięstwa, podczas gdy inni stali z założonymi rękami i przypatrywali się zdala bohaterskim zapasom. Przykładem i czynem dowiedli światu, że byle nie tracić nadziei w miłosierdziu Bożem i nie cofać się przed żadnem poświęceniem i wysiłkiem, człowiek spełnić zdoła rzeczy na pozór niepodobne i pokona największe trudności. W wielkiej swej skromności obaj znakomici mężowie, chwałę zwycięstwa przypisywali Bogu, zwiąc się jedynie narzędziami, któremi spodobało się Najwyższemu posłużyć.

Dzieło ich życia zostało dokonane. Niebawem obaj rycerze Chrystusowi, którzy tu na ziemi połączonemi siły walczyli o cześć i chwałę Bożą, powołani zostaną przed tron Najwyższego, gdzie czekać ich będzie stokroć większa nagroda niż ta, jaką świat dać może. Jeszcze upłyną wieki zanim skruszoną zostanie potęga turecka i Europa pozbędzie się na zawsze trwogi przed niewiernymi.

Święty Kapistran i Hunyady niejednego będą mieli godnego siebie następcę w tej

wiekowej walce. Zasługą ich pozostanie jednak w historyi, że pod murami Białogrodu stawili zwycięsko czoło potędze tureckiej, w chwili, gdy zdawało się światu, jakoby ta potęga była nieprzezwyciężoną i jakoby wszystko zmiażdżyć miała w swoim żywiołowym pochodzie. Na dane przez zwycięstwo Białogrodzkie hasło, podnieść się miała Europa cała i chwycić za oręż przeciw najezdźcom. Otóż chrześcijanie mieli jeszcze odnieść niejedno świetne zwycięstwo nad poganami, któż jednak zdoła powiedzieć, coby się było stało, i do czegoby było w Europie doszło, gdyby nam św. Kapistran i bohaterski Hunyady nie pokazali drogi do chwały?

Rozdział VIII.

Śmierć.

Po spełnieniu wielkiego zadania, do którego go Pan powołał, danem już tylko było naszemu Świętemu trzy miesiące przeżyć na ziemi. W ostatnich tych miesiącach życia pielęgnował jeszcze złożonego niemocą przyjaciela swego i wiernego towarzysza broni Hunyadego i opatrzył go Najświętszymi Sakramentami na drogę wieczności.

Bonfini w swej Historyi Węgier, opowiada nam o ostatnich chwilach narodowego bohatera. Postaramy się według niego oraz według innych historycznych źródeł skreślić króciutki lecz, o ile możności, dokładny obraz zgonu Hunyadego. Wróćmy raz jeszcze do Białogrodu.

W kilka dni zaledwie po ustąpieniu wroga, poczęło się tu szerzyć straszliwe morowe powietrze. Wobec stosów gnijących i rozkładających się trupów, oraz lipcowych upałów, nic w tem nie było dziwnego. Jedną

z pierwszych ofiar zarazy padł bohaterski obrońca miasta Hunyady. Znoje i trudy obozowe podkopały jego zdrowie, torując chorobie przystęp. Z porady lekarzy przeniesiono czemprędzej chorego wodza do Zemuniu (Zemlin), w pobliżu którego odniósł, kilka tygodni temu zaledwie, pamiętne zwycięstwo na wodach Dunaju nad Turkiem jeszcze w pełni sił i zdrowia. Lekarze liczyli na to, że skoro odetchnie lepszem i czystszem powietrzem, będzie ocalonym. Niedługo jednak łudzono się tą nadzieją. Nieubłagana śmierć czyhała tylko na swoją ofiarę. Obaj synowie konającego bohatera, Władysław i Maciej, (późniejszy król węgierski Maciej Korwin) czuwali u jego łoża. Święty Jan Kapistran nie opuścił również ani na chwilę chorego przyjaciela. Gdy po raz pierwszy wspomniał mu o tem, iż należałoby pomyśleć o uporządkowaniu spraw doczesnych oraz zabezpieczeniu zbawienia duszy, Hunyady odrzekł na to z uśmiechem: Dobra i słuszna twoja rada, uważałbym się jednak za szaleńca, gdybym był tego oddawna nie uczynił, i tak ważne sprawy odkładał do ostatniej chwili. Poczem złożył na ręce Kapistrana wyznanie wiary katolickiej oraz ufności i nadziei w Bogu, na którego się zdaje wolę. Wszak walczył zawsze i jedynie dla chwały Bożej i życie całe walce tej poświęcił, nie troszcząc się

bynajmniej o chwałę ludzką. Czując zbliżający się koniec, kazał się zawieść do pobliskiego kościoła Najśw. Panny i tam przyjął uroczyście z rąk Świętego Komunię świętą oraz ostatnie Sakramenta. Tak pokrzepiony na drogę wieczności, skonał dnia 11 sierpnia 1456 r. W ostatnich rozmowach z konającym przyjacielem mawiał Kapistran, iż zazdrości mu śmierci w tak pięknem zwycięstwie i ocaleniu chrześcijaństwa. Może iść teraz prosto po nagrodę i koronę niebieską, nie bacząc na to, iż gdy przeminą pierwsze dnia radości i zapału, znajdą się tacy, co kalać będą jego dobre imię i nie daliby mu zaznać szczęścia, ni spokoju. »Oby mi Bóg pozwolił pójść tam w Twoje ślady — dodawał, — abyśmy służąc razem Najświętszemu na ziemi, mogli znaleść wieczną nagrodę w niebie.«

W takiem to usposobieniu duszy pożegnał Kapistran przyjaciela. Śmierć Hunyadego pogrążyła go w żałobie. Na długo miał zniknąć uśmiech z jego oblicza. Odmówił wzięcia udziału w uroczystościach, któremi obchodzono zwycięstwo w kraju całym. Dnie całe oraz wiele bezsennych nocy trawił na rozmyślaniu o wieczności, oraz niczem już niezamąconej szczęśliwości, jaka tam wybranych czeka. — Ostatnia próba na jaką go Pan wystawił, nie trwała zbyt długo: zbliżała się tak gorąco upragniona godzina wyzwolenia.

Silny organizm Świętego był już wyczerpany. Był to już zresztą starzec 70-letni. Z tych lat 70-ciu czterdzieści przeszło poświęcił umysłowej pracy i zabiegom, ostrej pokucie i umartwieniu, trapiąc przytem swe ciało i podkopując siły. Śmiało też twierdzić możemy, iż niezwykłe trudy, jakich się w sędziwym wieku podjął, oraz rozliczne trudności, z jakiemi miał do walczenia w czasie głoszenia krucyaty na niewiernych, skróciły mu o lat kilka życie.

Nie dziw więc, że gdy do tego przyszły opłakane warunki, w jakich przez kilka tygodni przebywał w murach oblężonego Białogrodu, zdrowie i siły Świętego były już stargane. Już w czasie choroby Hunyadego groziło mu kalectwo, gdyż nie był w stanie się ruszyć bez pomocy kija. Stracił równocześnie wszelką chęć do jedzenia i wychudł do tego stopnia, iż została na nim tylko skóra i kości. Pozostawał jednak dalej w Zemuniu. Za blizko to było jeszcze Białogrodu, i zabójcze zarazki dżumy dochodziły tu z zarażonego miasta. Sam Zemuń zresztą przedstawiał smutny bardzo widok, gdyż żołnierze przechodząc zniszczyli miasto i obrócili go w perzynę. Dom, w którym mieszkał, był nawpół w gruzach. Gnieździły się tam szczury i jaszczurki. Kapistran nie miał ani na czem usiąść, ani na czem się położyć. Otaczały go

gołe ściany. Gdy wieść o tem doszła do uszu kardynała-legata, prosił usilnie Kapistrana, by zechciał się przenieść do innej, zdrowszej i nie nawiedzonej klęskami wojny miejscowości. Święty nasz przychylił się do życzenia kardynała. Nie tyle mu chodziło o samego siebie, gdyż już się był pożegnał z życiem i ze światem, ale przedewszystkiem o dobro i bezpieczeństwo towarzyszy, z których niejeden począł już upadać na zdrowiu. Udał się zatem do Villaku, małej węgierskiej mieściny, położonej tuż nad turecką granicą, na brzegach Dunaju[1]). W pośród towarzyszących Świętemu braci znalazł się tu znany nam już poprzednio Jan z Tagliocozzo, z którego opowiadań zaczerpaliśmy wiele szczegółów o bohaterskich walkach pod Białogrodem. Przybył on tu na wyraźne żądanie Świętego, który w takie odezwał się do niego słowa: »Proszę cię, nie opuszczaj mnie, synu mój, i nie zostawiaj samego wśród obcych. Wszak jesteś jedynym już Włochem w mojem otoczeniu. Nie mam prócz ciebie żadnego innego, któryby czuwał nademną w godzinę śmierci i, gdy skonam, zamknął mi powieki i któremubym umierając, mógł powierzyć ukochane księgi, jakie mi pozwolono wziąć ze sobą, aby je odwiózł do klasztoru.

[1]) Nie trzeba tego Villaku mieszać z Villakiem w Karyntyi, które Święty nasz oczyścił z morowej zarazy.

Dlatego też proszę cię, uzbrój się w cierpliwość i nie odstępuj mię w chorobie. Jeśliby Pan Bóg pozwolił mi wrócić do zdrowia, wybralibyśmy się razem do Budy, by gromadzić tam nowe siły przeciwko niewiernym«. Mówił to wiedząc, iż sądzonem mu jest umrzeć na Węgrzech, nie wiedział jednakże, jak długo jeszcze Pan Bóg mu żyć dozwoli.

Wystarczyło mu jeszcze sił, by swoim zwyczajem odbyć podróż do Villaku piechotą. Gubernator miasta, znany chlubnie z mnogich wypraw na niewiernych, Mikołaj, wyszedł na jego spotkanie. Rycerz ten przypadł Świętemu do serca i nieraz w listach do Ojca świętego, porównywa go Kapistran do Hunyadego. Mikołaj odpłacał się Świętemu szczerem przywiązaniem i uwielbieniem. Pospieszył zatem namiestnikowi swemu Wawrzyńcowi wydać rozkazy, aby Świętemu na niczem nie zbywało, sam bowiem nie mógł nad tem czuwać, gdyż służba wzywała go nad granicę. Mieszkańcy Villaku całem sercem podzielali radość gubernatora, że Świętego goszczą w swych murach. Przyjęli go też z oznakami najwyższej czci i uwielbienia. Kapistran zamieszkał w miejscowym konwencie Obserwantów.

Zdawało się, iż czuł się czasami na siłach do odprawienia Najśw. Ofiary. Gdy zaś siły mu nie dopisywały, wspierając się wówczas

na ramieniu którego z braci, udawał się do kościoła, aby przyjąć tam przynajmniej Komunię św. W przeciągu długiej swej choroby ani razu nie zaniedbał odmawiania brewiarza i oficyum do M. Boskiej. Na kilka dni dopiero przed śmiercią musiał tego zaniechać. Kazał wówczas jednemu z braci czytać je sobie głośno i z wielką uwagą i skupieniem słuchał. Nie słyszano z ust jego słowa skargi. Dwóch rzeczy jedynie szczerze żałował, że za długo żył na tym świecie, i że nie danem mu było przelać krwi swojej za sprawę Chrystusową. W uroczystość Narodzenia Najśw. Maryi Panny objawił Pan Bóg wiernemu słudze swemu, iż z choroby tej już nie wyjdzie. Król węgierski, Władysław Pogrobowiec po dwakroć przyjeżdżał odwiedzać chorego Kapistrana. Za pierwszą bytnością króla, święty mąż był jeszcze na nogach i mógł wyjść na jego spotkanie. Następnym razem przyjął go Kapistran w klasztornej swej celi, leżąc na prostej słomianej pościeli. W gorących słowach zagrzewał króla do obrony chrześcijaństwa i zachęcał go do życia pobożnego. Tak Władysław jako i legat papieski wezwali do łoża chorego najlepszych lekarzy w kraju. Wówczas Swięty kazał im od siebie powiedzieć: »Róbcie, co chcecie, mówcie, co wam się spodoba. O ile to będzie w mej możności, postaram się być wam po-

słuszny i spełnić wasze żądanie. Przekonany jednakże jestem głęboko, iż z choroby tej nie wyjdę, lecz że umrę w niej niebawem«. Z całych Węgier zjeżdżali się panowie, prałaci i szlachta, aby chorego odwiedzać. Znoszono mu jak najlepsze i najbardziej wyszukane potrawy, lecz Święty nawet nie kosztował, ale rozdawał je ubogim. — Tymczasem gorączka wzmagała się z dniem każdym, nieznośne bóle coraz stawały się dokuczliwsze, a ponawiające się coraz to częściej krwiotoki osłabiały i wyczerpywały go strasznie. Nic jednak nie zdołało mu odjąć niezamąconej pogody ducha ani osłabić gorącej pobożności. Z równą jak zawsze gorliwością gotów był do ostatniego tchnienia pracować ku podnoszeniu chwały Bożej, dla dobra wiary i Kościoła, zbawienia jak największej liczby dusz chrześcijańskich. Czynił też mnogie cuda i uzdrowił wielu chorych. Oto jeden z wielu przykładów przekazany nam przez wiernego Tagliocozza.

O pięć mil od Villaku pewien z braci zakonnych, imieniem Ambroży, leżał ciężko chory w malignie i prawie już agonii. Wieść o tem doszła Kapistrana w nocy. Natychmiast Święty nasz ukląkł w łóżku i gorąco począł się modlić za chorego towarzysza. W tejże samej chwili, gdy Święty sam się modlił, wróciła choremu przytomność, od-

zyskał mowę i był wyratowany. Różne były zdania co do choroby Kapistrana. Jedni mawiali, iż nie mógłby przeżyć tak silnej utraty krwi, drudzy zaś twierdzili, że wróci z pewnością do zdrowia, skoro umysł ma tak trzeźwy i jasny i ciężka niemoc nie osłabiła w nim niezrównanej energii i żywotności. Gdy tak się naradzano, Święty nasz tymczasem rozdzielił pomiędzy obecnych kilku chorych wszystko, co mu ostatniemi czasy zniesiono, różne ubrania, lekarstwa i potrawy, poczem w takie odezwał się do nich słowa:

— Daję to, wam na znak, iż wrócicie wszyscy niebawem do zdrowia, ja jeden tylko umrę niedługo.

Dnia 18 października, t. j. w dzień św. Łukasza poprosił chory, aby wszyscy ojcowie i bracia zeszli się do jego celi. Zabrał tedy głos i wezwał obecnych gorącemi słowy do wytrwania w czci i bojaźni Bożej i do posłuszeństwa regule zakonnej. Potem zebrawszy ostatki sił, ukląkł na łożu, zalewając się łzami, wyznał braciom, iż jest biednym grzesznikiem i że błaga o modlitwy za swoją duszę, ojca zaś gwardyana prosi o naznaczenie sobie pokuty. Zostawszy sam na sam z gwardyanem i kapelanem, oznajmił im, że pragnie gorąco przyjąć nazajutrz ostatnie Sakramenta, a to leżąc na gołej ziemi, jak to był uczynił św. ojciec Franciszek, w obecności

całego zgromadzenia. Po rozmowie tej wezwał do siebie Tagliocozza i uczynił przed nim spowiedź z całego życia. Według życzenia Świętego, urządzono nazajutrz ołtarz w jego celi, i położono go na ziemi przed ołtarzem. Przybył ojciec gwardyan w otoczeniu braci, niosąc Przenajśw. Sakrament. W największej pokorze ducha i skrusze wyznał po raz drugi Święty głośno przed obecnymi, iż jest grzesznikiem, który prosi o modlitwy i przebaczenie. Przyjął Sakramenta święte z najżywszą wiarą i pobożnością, poczem kazał odmawiać przy sobie modlitwy za konających, a kiedy doszli do słów: Odejdź w spokoju duszo chrześcijańska!..., Święty prosił, by przerwano, dodając, iż gdy nadejdzie pora, poprosi sam o dokończenie. Powróciwszy do łóżka z radością zawołał: »Teraz możesz Panie puścić sługę swego w pokoju«, i słowa te powtarzał po kilkakroć tak silnym głosem, iż trudno było przypuszczać, iż może to być głos konającego. To też towarzysze Świętego łudzili się jeszcze nadzieją. Przerażała ich jednakże zupełna niezdolność chorego przyjmowania pokarmów, wielki upływ krwi, oraz niczem niezachwiana jego pewność, iż wybiła ostatnia godzina. Kapistran wydawał w dalszym ciągu ostatnie swoje rozporządzenia. Tak kazał, by wszelkie papiery i dokumenty tyczące

się Czech i Husytów przeniesiono do Wiednia. Cały swój księgozbiór uważał jako własność Zakonu i wraz ze zbiorem listów i bulli papieskich przekazał klasztorowi Franciszkanów w Kapistrano i prosił, by go im wręczono. Nawet Pismo św., sandały i różne drobiazgi rozdawał pomiędzy obecnych.

Na dzień przed śmiercią wzrok zaczął odmawiać mu posłuszeństwo. Czując już, że koniec bliski, Święty nasz w gorącej modlitwie polecił Bogu cały świat chrześcijański, wzywając Jego błogosławieństwa szczególniejszego dla Węgier, Austryi, Czech i Polski. Błogosławił też całemu zakonowi Franciszkańskiemu i wszystkim rozproszonym po świecie, tak obecnym jako też i przyszłym jego członkom, i wszystkim dobrodziejom zakonnym. Błogosławił zarówno siostrom klasztornym jako też i członkom Trzeciego Zakonu, wymieniając przytem wiele osób z nazwiska. W dzień śmierci rzekł do nieodstępnego Taglicozza: »Powiedz ode mnie ojcu gwardyanowi, niech każe zadzwonić w refektarzu, żeby zebrali się bracia i przyszli dokończyć modlitw za konających«. Żądanie to zostało spełnionem, aczkolwiek zdawało się wszystkim, iż chory ma jeszcze dni kilka życia. Skoro się wszyscy zeszli, Święty raz jeszcze polecił duszę swoją ich modlitwom, poczem rzekł: Oświadczam ci, ojcze gwar-

dyanie i wam, moi bracia, iż wierny mój towarzysz brat Jan pragnie zabrać po mej śmierci habit, w którym leżę i zanieść go z powrotem do Włoch. Odmówiłem jego prośbie i proszę was bardzo, abyście mię w tym habicie pochowali, gdyż był on mi z mej ojczyzny, Włoch, przysłany. Wszak zdobi go znak krzyża, który Jego Świętobliwość Ojciec święty Kalikst raczył mi przysłać, sam zaś kardynał-legat przypiął mi go własnoręcznie. Ze znakiem tym na piersiach nawoływałem rycerstwo do krucyaty. Przemoc turecka pokonaną została przez święte to znamię i przez sztandar Chrystusowy, który nad nami powiewał, i spodobało się Panu ręką moją zetrzeć potęgę niewiernych. A teraz bracia wróćcie do waszych modłów i polećcie duszę moją Bogu. Na taką mowę odparli obecni: Pewni jesteśmy, iż jeszcze daleko ci Ojcze, do śmierci, ale wypełnimy twoją wolę. To mówiąc stanęli szeregiem dookoło łoża chorego, trzymając zapalone świece w ręku, a Ojciec Gwardyan zaintonował modlitwę: »Odejdź w pokoju, dusza chrześcijańska«. Z nadmiaru wzruszenia pomylił się jednak w wyrazach, co zwróciło natychmiast uwagę chorego. »Weź mój brewiarz, — rzekł doń Święty, — znajdziesz w nim cały porządek nabożeństwa. Gwardyan począł czytać modlitwy z brewiarza, umie-

rający Kapistran odpowiadał głośno wraz z obecnymi.

Jedyną osobą świecką, której danem było być przy łożu umierającego Kapistrana, to Wawrzyniec, wice-gubernator Villaku. Był tam z rozkazu przełożonego swego Mikołaja, i miał czuwać nad zwłokami Świętego po śmierci, aby nie dać ich braciom zabrać i wywieść z miasta. Wawrzyniec nawet wprowadził do klasztoru kilku zaufanych ludzi, którzy mieli mu być pomocni w wykonaniu rozkazów Mikołaja.

Święty tymczasem leżał cicho i spokojnie. Był jeszcze najzupełniej przytomnym. Od czasu do czasu otwierał oczy i wznosił je z wyrazem niewymownej miłości to na krucyfiks, to w niebo. Składał też czasem ręce jakby do modlitwy. Raz usiłował jeszcze przemówić do obecnych, lecz głos tak już był słaby i bezdźwięczny, iż trudno go było zrozumieć. Widząc to Święty począł czynić znaki rękoma. Widocznem było, iż czegoś pragnął. Zrozumiano nareszcie iż pragnie uprzedzić otaczających go, iż koniec się zbliża. Zapalono tedy gromnice i zaintonowano raz jeszcze modlitwy za konających. Podczas, kiedy tak się wokoło niego modlono, Święty nasz złożywszy ręce, otworzył oczy, po raz ostatni i wznosząc je ku niebu, Bogu ducha oddał. Tak skonał św. Jan z Kapi-

stranu w obecności braci klasztornych oraz wice-gubernatora Wawrzyńca, dnia 23 października 1456 r. o godz. 3-ciej popołudniu.

Skoro tylko Kapistran zamknął oczy, wprowadził Wawrzyniec do celi Świętego swych ludzi i kazał im czuwać nad ciałem. — Spełniał on swe rozkazy z tak przesadną gorliwością i pospiechem, iż w pierwszej chwili nie chciał nawet zostawić braciom czasu do obmycia i ubrania zwłok Kapistrana. Skoro to jednak uczyniono, w największej cichości korytarzem klasztornym przeniesiono zwłoki do kościoła. W kościele postawił jeszcze Wawrzyniec przy zwłokach straż, złożoną z 64 ludzi, a drzwi zamknąć kazał. Wieść jednak o zgonie Świętego rozeszła się już po mieście i tłumy ludzi oblegały kościół, grożąc, iż jeśli ich nie dopuszczą do zwłok, to drzwi wyważą. Obrzędy i nabożeństwa żałobne trwały całych dni siedem. Zamierzono pierwotnie wystawić zwłoki Świętego na widok publiczny oraz obnieść je procesyonalnie po całym mieście, lecz zamiaru tego zaniechano. Obawiano się albowiem, iż lud rzuci się na ciało Świętego i rozerwie je w kawałki, gdyż każdy pragnął mieć relikwie na pamiątkę. Wśród takiej ciżby i natłoku łatwo zdarzyć się mógł jakiś wypadek. Gubernator miasta, Mikołaj, przybył w sam dzień pogrzebu. Myśl, że ciało Świętego

spocząć ma na wieki w mieście, jego powierzonemu pieczy, przejmowało go radością i chlubą; markotno mu było tylko, iż w tak skromnym spocząć ma grobowcu.

Niebawem zamknięto zwłoki Kapistrana w ciężkiej żelaznej skrzyni opatrzonej siedmioma zamkami, i przeniesiono je uroczyście do wspaniałej franciszkańskiej świątyni, pod wezwaniem Najśw. Panny. Na grobowcu Swiętego taki umieszczono napis:

Hic tumulus servat praeclara laude Joannem,
Gente Capistrano. Fidei defensor et auctor,
Ecclesiae tutor, Christi tuba, tum Ordinis ardens
Fautor, in Orbe decus, tum veri cultor et aequi,
Et vitae speculum, doctrinae maximus index,
Laudibus innumeris iam possidet astra beatus.
Vixit annos XXXCI M. III. D. XXII.

W tłomaczeniu tak napis ten brzmi: »Spoczywa tu Jan, rodem z Kapistranu, mąż godzien chwały wielkiej. Obrońca i szerzyciel wiary, wierny stróż praw Kościoła, chorąży Chrystusów, gorliwy opiekun zakonu, chluba całego chrześcijańskiego świata, miłośnik prawdy i sprawiedliwości, zwierciadło żywota, najpewniejszy przewodnik w nauce wiary: niezliczone języki sławią Jego imię a teraz króluje błogosławiony w niebiesiech.

Przeżył lat siedmdziesiąt i jeden, trzy miesiące i 22 dni.«

Święty nasz za życia był wielbionym i czczonym przez świat cały, Pan Bóg zaś zlewał obficie nań swe łaski, pozwalając mu dokonywać rzeczy wielkich i, zdawałoby się, człowiekowi niepodobnych. Wszystko to niczem jednak było w porównaniu z czcią, jaką otoczyła pamięć potomnych imię Kapistrana. Niezliczone cuda działy się na jego grobie lub za jego wstawiennictwem. Wiarogodność wielu z nich potwierdzić miał następca Świętego w jego misyi na Węgrzech, Jakób della Marco, inne zaś bywały badane przez najwyższe sądy czy to biskupie czy to królewskie w kraju.

Kilku książąt oraz wysokich urzędników świeckich wstawiało się do Stolicy Apostolskiej, prosząc o kanonizacyę Kapistrana. Uczynił to między innymi w r. 1460, młodziutki król węgierski Maciej Korwin, we dwa lata zaś po nim domagał się tego cesarz niemiecki, Fryderyk III.

Proces kanonizacyjny Kapistrana przeciągał się jednak z roku na rok. Zaledwie w r. 1724 Kościół oddał Świętemu najwyższą cześć, jaką oddać może człowiekowi na ziemi t. j. policzył go w poczet swoich świętych patronów. Jeżeli proces kanonizacyjny trwał tak długo, dowodzi to tylko, z jaką przeprowadzono go surowością, jak skrupulatnie badano wszelkie źródła i dowody. Wszak

rozstrzygała tu najsurowsza na świecie instancya, Kongregacya św. Obrzędów w Rzymie.

Sądzimy przeto, że każdy z naszych czytelników, przed którym roztoczyliśmy obraz heroicznych zaiste cnót świętego wyznawcy Kapistrana, pospieszy z uznaniem dla orzeczenia Kościoła i wzywać będzie jego Imienia.